MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 21 WARSZAWA, 23 MAJA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

PUBLICYSTYKA I HISTORIA

CZUJĘ się zaszczycony tem, że prof. Władysław Konopczyński zwrócił uwagę na mój artykuł „Rewizja poglądów na przeszłość", zamieszczony w nr 7 (14 lutego) „Myśli Narodowej". Jeśli tego nie stwierdziłem zaraz po ukazaniu się artykułu prof. Konopczyńskiego ("Klio na przeszkoleniu", w nr 16 „Myśli Narodowej" z dn. 18 kwietnia) to dla tego, że pewne zajęcia praktyczne i obowiązki codzienne dziennikarza stanęły temu na przeszkodzie.

Odpowiedź moja mogła by być krótka. Zaszło tu bowiem pewne nieporozumienie. Mój artykuł był spowodowany artykułem sprawozdawczym p. K. S. Frycza, zamieszczonym w tygodniku „Prosto z mostu" i dotyczącym książki Duff Coopera o Talleyrandzie. P. Frycz zadeklarował, że jest usposobiony krytycznie w stosunku do młodszych historyków francuskich, którzy poddali gruntownej rewizji poglądy na Wielką Rewolucję, Napoleona i t. d. Uwagi wypowiedziane przezemnie o potrzebie rewizji poglądów na przeszłość u nas były incydentalne i zawierały się w dwuch zdaniach artykułu. Na te dwa zdania zwrócił uwagę p. prof. Konopczyński.

Nie posiadam kompetencji do wydawania sądów o wartości pracy naukowej historyków współczesnych w Polsce, gdybym się jednak w tej materii obszerniej wypowiedział, może by nie było między prof. Konopczyńskim a mną zbyt wielu powodów do dyskusji.

Dotknął jednak p. prof. Konopczyński w swym artykule zagadnienia, które mnie bardzo żywo obchodzi, i o którym wiele myślałem i dlatego pozwolę sobie na kilka skromnych w tym przedmiocie uwag. Mam na myśli stosunek ludzi usiłujących oddziałać na życie współczesne do historii i do historyków. Czy „*historia*" ma występować jako „*magistra vitae*", czy też „*vita*", jako „*magistra historiae*".

„*Vita*" — to politycy i publicyści! Ponieważ uwagi moje były wypowiedziane w charakterze publicysty, więc może wypada określić czem jest właściwie publicysta. Zdaniem mojem jest to bądź historyk, rozpatrujący teraźniejszość lub przyszłość zamiast przeszłości, lub też polityk, nie mający w danej chwili zastosowania dla swych zamiłowań lub zdolności.

Weźmy przykłady. Publicystą - historykiem był J. L. Popławski. Dla niego tysiącletnie dzieje Polski, jej teraźniejszość i jej przyszłość, która jasno rysowała się w jego wyobraźni, stanowiły całkowitą jedność. Z rozmyślań nad przeszłością, a więc nad warunkami, w których żyły pokolenia narodu polskiego, i nad psychiką narodu polskiego, rodziły się u Popławskiego poglądy na teraźniejszość i przyszłość; obserwacja teraźniejszości, przeświadczenie o ciągłości życia narodu i stwierdzenie faktu, że naród polski żył w ciągu tysiąclecia w jednakich warunkach naturalnych, ustaliły u Popławskiego punkt widzenia na przeszłość. Byłoby doprawdy wdzięcznem zadaniem dla znawcy przeszłości naszego narodu napisanie studium o Popławskim, jako o historyku.

Przykładów publicystów-polityków można by przytoczyć wiele. Weźmy wreszcie tylko kilka. Wszak publicystami byli w pewnych okresach swego życia Poincaré, Clemenceau, Tardieu. Publicystą jest Mussolini. Publicystami są Balicki i Dmowski. A jeśli sięgnąć w dalszą przeszłość, to pracą publicystyczną jest pismo Cezara „*De bello galico*", do publicystyki można zaliczyć mowy Demostenesa.

Stąd wniosek, że publicysta jest podobnie jak polityk twórcą historii. A jeśli tak, to musi szukać w przeszłości narodu tych wskazań, które mu są potrzebne do tego by się na nich oparł w oddziaływaniu na rzeczywistość, na życie, które tworzy.

Ponieważ zaś nikt mi nie wytłumaczy, iż rzeczą ważniejszą jest badanie życia, niż ono samo, więc stąd wyprowadzam wniosek, że jest usprawiedliwiony polityk, który stawia wymagania dziejopisarzom. Dla nikogo z nas nie jest obojętne co będzie z narodem polskim. Dla wielu z nas jest to troska największa, o wiele większa niż miłość wiedzy i troska o jej przedmiotowość i objektywizm.

I ośmielę się twierdzić, że tak na wiedzę historyczną zapatrywali się najznakomitsi jej przedstawiciele. Mam to przeświadczenie, że z troski o dzień dzisiejszy i jutrzejszy, a nie z oderwanej miłości do „wiedzy" i „prawdy" zrodziły się prace historyczne Bobrzyńskiego i Askenazego, o których wspomina prof. Konopczyński.

Czytałem niedawno ponownie „Dzieje Polski" Bobrzyńskiego i wyniosłem z tego przeświadczenie, że swoje poglądy na teraźniejszość zastosował do przeszłości, a nauki płynące ze studiów nad przeszłością użytkował jako materjał do wyrobienia sobie poglądów na teraźniejszość. Jako polityk i publicysta, a zarazem historyk nie zwracał się z apelem do historyków, lecz sam poddał gruntownej rewizji poglądy na przeszłość. A ta jego pasja polityczna i publicystyczna sprawiła, że książka jego tętni żywym obiegiem krwi, że może i powinna być czytana dziś jeszcze, i że zawiera wiele prawd, które pokolenie współczesne może uznać za swoje.

Podobnie ma się rzecz z Askenazym. Był on przedewszystkiem politykiem. Wiemy z własnej obserwacji, że nietylko treść jego pism, lecz nawet jego działalność pedagogiczna we Lwowie służyła mu do osiągania pewnych celów politycznych. Mam to przekonanie, że jednym z jego celów było odciągnięcie najwybitniejszych przedstawicieli młodzieży narodowej od stronnictwa demokratyczno-narodowego i że do tego służyła mu jego działalność w ramach seminarium historycznego we Lwowie. Czytałem też jego „Przymierze polsko-pruskie" i twierdzę, że jest ono poświęcone uzasadnieniu i usprawiedliwieniu polityki zagranicznej, tak zgubnej dla Polski Ignacego Potockiego i lóż polskich. Inaczej przedstawia te sprawy prof. Dembiński, a przeciwstawienie tych dwuch książek jakże łączy się ściśle z polityką polską w przededniu i w czasie wojny lat 1914—1918! Był zresztą Askenazy nietylko historykiem lecz także politykiem i publicystą („Uwagi" wydane w czasie wojny) i trudno te dwie dziedziny jego umysłu i życia od siebie oddzielić.

Gdyby się zgodzić na jednakowe określenie stosunku polityki do historii i historii do polityki, to z tego nie wynika jeszcze wcale, że w chwili obecnej potrzebna jest rewizja poglądów na naszą przeszłość. Trzeba by jeszcze dowieść, że narody europejskie przeżywają okres głębokiego przeobrażenia dziejowego. Na to nie wszyscy się godzą; dla wielu jest to kryzys wywołany katastrofą wojenną, po skończeniu tego kryzysu wszystko powróci do dawnego, przedwojennego stanu. To już jest zagadnienie polityczne, którym mają wszelkie prawo zajmować się publicyści. Korzystając z tego prawa, twierdzę, że okres dziejów, rozpoczęty odkryciem Ameryki i Odrodzeniem, okres wyzwalania się jednostki z więzów nakładanych na nią przez zbiorowość, okres, którego szczytowym momentem rozwoju była Wielka Rewolucja i jej ojciec duchowy Russo (nie mogę się odzwyczaić od wsiadania na swego ulubionego Rousseau'a) a następnie cały wiek XIX ma się ku końcowi i że rodzi się świat nowy, który pod pewnymi względami nawiązuje do średniowiecza.

A jeśli jest tak, to wślad za radykalną zmianą poglądów na teraźniejszość (nazywam to rewolucją narodową) musi przyjść zmiana poglądów na przeszłość. I to nie na żądanie, lub na skutek nawoływania polityków lub publicystów, lecz z wewnętrznej potrzeby tych przedstawicieli młodego pokolenia, co się poświęcili badaniu przeszłości.

Wiem, że nie piszę ściśle o rzeczach, które poruszył w swym artykule prof. Konopczyński. Jeśli to czynię, to dlatego, że pragnąłem dokładniej wyjaśnić wypowiedziane w poprzednim moim artykule poglądy. Pierwszym bowiem warunkiem pożytecznej dyskusji jest wzajemne rozumienie poglądów i stanowiska wobec zjawisk życiowych.

Jeśli chodzi o sąd prof. Konopczyńskiego o nowożytnych dziejach Polski wypowiedziany w książce, „która daje przegląd krytyczny wszystkich ważnych faktów i sądów od statutu Łaskiego do Kościuszki", to przyznam się szczerze, że jej nie czytałem. Nie dlatego, bym o jej ukazaniu się nie wiedział, lub też nie był nią zainteresowany, lecz dla tego prostego poziomego powodu, że jako współczesny publicysta nie mogę sobie pozwolić na jej nabycie i muszę czekać, aż moi uczynni znajomi, którzy ją posiadają, będą mogli mi ją pożyczyć.

STANISŁAW KOZICKI

SPÓR O NOWE POKOLENIE NAUCZYCIELI

ZA DNI niewiele znikną w Polsce ostatnie ślady seminariów nauczycielskich. Były to zakłady, mające w latach dawniejszych zadanie podwójne: dla kobiet była to szkoła średnia ogólno-kształcąca, zwłaszcza w Małopolsce, najprzystępniejsza dla ogółu, a dla mężczyzn i wielu kobiet była to szkoła zawodowa, przygotowująca ich do zawodu nauczycielskiego.

Reformy Jędrzejewiczowskie skazały seminaria nauczycielskie na zagładę. Twierdzono o nich, że za mało kształcą, że nowa Polska potrzebuje nauczycieli, wyżej, wszechstronniej i lepiej wykształconych. Ustawa o ustroju szkolnictwa z r. 1932 powierza, zgodnie z tymi zastrzeżeniami dalsze kształcenie kadr nauczycielstwa szkół powszechnych liceom pedagogicznym i pedagogiom, a seminaria nauczycielskie znosi. Właśnie w maju i czerwcu r. b. seminaria nauczycielskie likwidują ostatni, piąty rok studiów.

Radykalne sfery nauczycielskie uznały obecnie ten nowy, ale podwójny system kształcenia nauczycieli za „zgniły kompromis". Prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego, Kolanko, na ostatnim posiedzeniu Państwowej Rady Oświecenia Publicznego zażądał wręcz „zaniechania tworzenia liceów pedagogicznych" i „uznania zakładów na poziomie wyższym za jedyną właściwą formę kształcenia nauczycieli szkół powszechnych w Polsce".

P. Kolanko mógł się powołać na uchwały Kongresu Międzynarodowej Ligi Nowego Wychowania z r. 1932 i na jednomyślną rezolucję przedstawicieli 45 krajów, zwołanych przez Międzynarodowe Biuro Wychowania w Genewie z r. 1934. Rezolucja, powzięta pod auspicjami Ligi Narodów, domaga się „kształcenia nauczycieli szkół powszechnych w uniwersytetach, instytutach i akademiach pedagogicznych trzyletnich". Gorzej jest z wykonaniem nawet przez największe kraje owych uchwał międzynarodowych, ale i w tej dziedzinie możnaby zanotować dość licznie podejmowane próby.

Nasze Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego znajduje się — jak to wszyscy wiemy — pod silnymi wpływami owych Lig, Biur i zjazdów międzynarodowych, tu w kraju specjalnie głęboko zakorzenionych w Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych (Z. N. P.) To też w pracach Ministerstwa widzimy wyraźny wpływ Związku i cytowanych wyżej uchwał międzynarodowych.

Przed kilku miesiącami min. Świętosławski zwrócił się do wszystkich uczelni wyższych z apelem, aby nie robiły trudności nauczycielom szkół powszechnych, wykazujących się egzaminem dojrzałości w seminarium nauczycielskim przy zapisach na wyższe uczelnie w charakterze słuchaczów zwyczajnych. Od jesieni 1937 r. mieć będzie Polska 9 do 11 państwowych publicznych pedagogiów jako szkół o charakterze *quasi* uniwersyteckich dla kształcenia nauczycieli szkół powszechnych. Czy powstaną również pedagogia prywatne, nie państwowe, ale z prawami szkół państwowych, to jeszcze nie wiadomo. Pedagogia mają plan nauki dwuletni. Przyjmują młodzież, wykazującą się maturą liceum ogólno-kształcącego.

Jest to — jak widzimy—duży krok w kierunku „kształcenia nauczycieli szkół powszechnych w uniwersytetach, instytutach i akademiach pedagogicznych.

Obok pedagogiów zamierza jednak Ministerstwo W. R. i O. P. założyć we wrześniu 1937 r. około 40 liceów pedagicznych trzyletnich. Dostęp do tych szkół mieć będą absolwenci nowego 4-letniego gimnazjum. Przeciwko zakładaniu tych liceów wystąpił—jak było do przewidzenia—bardzo ostro Związek Nauczycielstwa Polskiego. Poparli to żądanie w Państw. Radzie Oświecenia pp. Machowski, Kolanko, Grzegorzewska, Drzewiecki, Kasperowiczowa, Pawłowski. Ministerstwo W. R. i O. P. podtrzymało jednak swój projekt, aby przynajmniej na razie dla próby, oprzeć kształcenie nauczycieli na obu typach szkół: i na pedagogiach i na liceach pedagogicznych.

Zwolennicy wyższego, uniwersyteckiego kształcenia nauczycieli szkół powszechnych operują argumentem bardzo ponętnym i popularnym: trzeba, aby nauczyciel był jaknajgruntowniej wykształconym. Ten argument zwycięża dosyć często w ustawach i dekretach lat ostatnich: pisarz gminy wiejskiej ma mieć ukończone gimnazjum i trzyletnią praktykę zawodową, wójt, burmistrz czy prezydent miasta conajmniej studia średnie, a często i wyższe oraz wieloletnią referendarską, samodzielną praktykę w urzędach lub w sumorządach, nauczyciele szkół średnich egzaminy i praktykę itd.

Wiemy, jak potym owe ustawy, dekrety i rozporządzenia są wykonywane. Wyjątkowe zwolnienia od kwalifikacji ustawowych stają się regułą, a przepisane kwalifikacje schodzą do wyjątków. Wszak do dziś na wysokich stanowiskach w szkolnictwie i w administracji szkolnej, nie wyłączając nawet Ministerstwa, mamy ludzi niekwalifikowanych, ludzi, którzy nigdy progu wyższej uczelni nie przekroczyli.

We wszystkim należy zachować miarę — nawet w żądaniach, jakie stawiamy nauczycielom szkół powszechnych. O tym niestety doktrynerzy polscy zbyt często zapominają.

Naszej szkole powszechnej, tej z r. 1932, stawia się wielkie wymagania. W rezultacie frekwencja w szkole tej z roku na rok spada, nietylko dlatego, że nie ma dostatecznej liczby nauczycieli i odpowiednich budynków szkolnych. Młodzież wiejska poprostu masowo ze szkół tych ucieka. Przyczynę łatwo odnajdziemy. Oto w szkole o jednym nauczycielu, a takich szkół mamy 12.778 na ogólną liczbę szkół powszechnych 25.496, nauka odbywa się w stosób następujący: pierwszy i drugi rocznik uczą się osobno—po parę godzin przed południem. W klasie III siedzą obok siebie dwa roczniki—trzeci i czwarty. W klasie IV siedzą naraz aż trzy roczniki: piąty, szósty i siódmy. Klasy III i IV mają naukę po południu. Dla dzieci z 7 roczników ma nauczyciel 5 godzin dziennie.

Dlaczegóż tak jest? Bośmy się uparli, że nawet do szkoły 1-klasowej dziecko musi uczęszczać przez lat 7. Reformatorzy przyrzekali nam nową sieć szkolną, w której nie będzie szkół 1 i 2-klasowych.

Mimo upływu 5 lat od wejścia w życie ustawy, nie widzimy żadnej zmiany. Nie mamy pieniędzy na płace nauczycielskie. Już dziś płace zasadnicze, dodatki mieszkaniowe i emerytury nauczycieli kosztują nas około 250 mil. zł. Armia czynnych nauczycieli wynosi ponad 70.000. Powinniśmy i moglibyśmy dziś zatrudnić dalszych 30.000 nauczycieli, gdybyśmy mieli na ich zapłacenie potrzebne pieniądze. Dla armii 100-tysięcznej, dziś potrzebnej, każda podwyżka o 10 zł. miesięcznie daje rocznie 12 mil. zł. rocznie więcej. Płacimy już dziś nauczycieli licho, a nie stać nas na zatrudnienie nawet owych 10.000 sił kwalifikowanych, które opuściły mury seminariów nauczycielskich, i gotowe kwalifikowane, czekają na posady. Trzeźwy człowiek musi wyciągnąć wniosek bardzo prosty: na długie lata pobory nauczycieli szkół powszechnych będą skromne (daj Boże, aby były choć dostateczne).

Nauczyciel szkoły powszechnej wymaga innych kwalifikacyj, aniżeli nauczyciel szkół średnich i zawodowych, a jeszcze innych profesor szkół akademickich. Nauka jest przyjemnością i przywilejem, które jednak dużo kosztują. Dlatego celowe zorganizowanie nauki dla wielu zawodów jest rzeczą niesłychanie trudną i ważną.

Nauczyciel przeciętnej szkoły powszechnej ma nauczyć dzieci dobrze czytać, pisać, rachować. Nauczyciel szkoły powszechnej dopiero w wyższych klasach i w szkołach najwyższego typu napotyka na zagadnienia szersze. Aby tym zadaniom podołał, musi mieć odpowiednie wiadomości, dobre dydaktyczne i pedagogiczne przygotowanie. Wiadomości ogólnych z zakresu uniwersytetów nie potrzebuje dla dzieci — wiadomości te mogą sprawiać radość i przyjemność przede wszystkim jemu samemu. Oczywiście nowa szkoła powszechna, która ma zastąpić i najniższe klasy dawnego gimnazjum, wymaga i od nauczycieli wyższych kwalifikacji. Te jednak można zdobyć przez dodatkowe kursy i studia i przez dodatkowe egzaminy (stare egzaminy kwalifikacyjne i wydziałowe oraz patenty z wyższych kursów). Aby te kwalifikacje zdobyć — nie koniecznie trzeba kończyć — uniwersytet.

Oczywiście ukończenie uniwersytetu nikomu z nauczycieli nie zaszkodzi. Ale ukończenie studiów uniwersyteckich wymaga ukończenia przedtem gimnazjum i liceum—wszystko zaś razem pochłania dużo czasu i pieniędzy. Długie przebywanie w mieście i wyższe studia odrywają od wsi, podnoszą wymagania i stopę życiową. Nauczyciel szkół powszechnych, wychowany na uniwersytecie, niechętnie pójdzie na wieś, będzie się tam czuł pokrzywdzonym przez los, a wynagrodzenie bardzo skromne uzna za — wydziedziczenie. On przecież na coś lepszego zasłużył... Rzecz prosta—będzie rozsadnikiem niezadowolenia i buntu, a nie czynnikiem postępu i kultury wsi.

Studia uniwersyteckie są z natury rzeczy tylko dla garstki wybranych, bo są trudne i drogie. Kto się tam dostanie, ten potym wymaga od losu i społeczeństwa wiele. Dla dzieci mas chłopskich, robotniczych, mieszczańskich, studia w gimnazjach, liceach, szkołach akademickich są bardzo często wręcz niedostępne. Seminaria nauczycielskie stare miały tę zaletę, że były dostępne i tanie, że miały internaty i stypendia (trzeba je było potym odrabiać), że nauka w nich trwała tylko 4, a potym 5 lat.

W seminariach panowała „atmosfera zawodowa”, tak konieczna dla opanowania wszelkich trudności w odpowiedzialnym zawodzie nauczycielskim. Przez odpowiednią reformę można było ich poziom podnieść. Tej atmosfery nie mają oczywiście i mieć nie będą nowe szkoły średnie.

Do starych seminariów garnęła się młodzież sfer uboższych. Kto się zgłosi do liceów pedagogicznych i do pedagogiów uniwersyteckich? Przed kilku tygodniami władze szkolne zapytały absolwentów IV klasy gimnazjum nowego typu, co zamierzają robić od września? Podobne pytanie — starym zwyczajem—postawiono również absolwentom VIII klasy starego typu gimnazjum. Odpowiedź w swej głównej masie była wyraźną: absolwenci nowego gimnazjum chcą iść do liceów ogólno-kształcących, stosunkowo niewielu wybiera się do liceów zawodowych — a poprostu nikt iść nie chce do liceów pedagogicznych; absolwenci starych gimnazjów nie wybierają się również do pedagogiów. Życiowe nastawienie ich jest całkowicie obce — zawodowi nauczyciela szkoły powszechnej.

Życie twarde zmusi niejednego z nich do „obniżenia lotu” i do zapisania się do liceum pedagogicznego czy do pedagogium, zwłaszcza, jeśli rząd zniesie w zakładach tych wszelkie opłaty, a młodzieży zapewni bezpłatne internaty i stypendia oraz posady, ale czy w tej atmosferze wyrosną nauczyciele pełni zapału do pracy i zadowoleni ze swojego losu, jest bardzo wątpliwe.

Te próbne zapisy wywołały poważne zaniepokojenie w sferach pedagogicznych. Okazuje się, iż przedwcześnie zniszczono zakłady o bądź co bądź wypróbowanej wartości, gdy jeszcze nie wypróbowano nowych zakładów. Seminaria przestały istnieć i produkować kadry nauczycieli, a licea jeszcze ich kształcić nie zaczęły, i niewiadomo jak próba ta wypadnie. Pedagogia dostarczać mogą zaledwie paręset absolwentów rocznie. A co będzie, jeśli eksperyment licealny i pedagogiów nie uda się? Co będzie, gdy przez lat kilka szkolnictwo powszechne pozbawione będzie dopływu nowych sił nauczycielskich? Czy nie wrócimy tu i ówdzie do pierwszych nauczycieli, do „organistów”, do masowego udzielania *veniam* od studiów nawet średnich?

Nie dość przemyślane reformy zniszczyły seminaria nauczycielskie, a nie dały gotowej, niewywołującej tak wielu pytajników szkoły nowej.

Nie jesteśmy w stanie cofnąć tego, co zniszczono. Powrót do seminariów jest niemożliwy — na elewów trzebaby czekać 5 lat—stworzenie nowego typu, łączącego gimnazjum nauczycielskie z liceum pedagogicznym w jednym zakładzie nie jest pomysłem ani przemyślanym ani łatwym do zrealizowania. Projekt ten wymaga jeszcze studiów. Na razie pozostaje nam tylko jedno: przestrzegać społeczeństwo przed niewiele dającymi pedagogiami i interesować się liceami pedagogicznymi, aby w chwili groźnej dla szkolnictwa wszcząć alarm.

Sprawa kształcenia nowego pokolenia nauczycieli szkół powszechnych wchodzi w fazę bardzo krytyczną.

STANISŁAW RYMAR

POLSKIE DICKENSIANA

JUŻ ZA ŻYCIA Dickensa utwory jego, tak lokalnie angielskie, przekroczyły w niezliczonych przekładach granice Anglii, zyskując wielkiemu pisarzowi coraz to szersze koła wielbicieli i uczniów. W Polsce wyraźnie oddziałały powieści Dickensa na twórczość Kraszewskiego i Prusa, a nawet Sienkiewicza, jak o tym pisze prof. Tadeusz Zieliński, który w sienkiewiczowskich typach niewieścich widzi siostrzane postaci z Dawida Copperfielda.

Stulecie (w r. 1936) ukazania się na świat „Klubu Pickwicka" przyniosło naszej literaturze świetną retrospekcję życia i twórczości wielkiego Anglika w monografii prof. Romana Dyboskiego: „*Charles Dickens*".

Podam poniżej kilka faktów nieuwzględnionych przez Dyboskiego.

Pierwszym Polakiem, który poznał Dickensa w zaraniu jego sławy literackiej, i który o tym zostawił wspomnienie w książce wydanej w 1853, o ile można mu wierzyć, był Teodor Tripplin, „postać z nieprawdziwego zdarzenia", jak go określa Nowaczyński.

Srogie losy emigranckie zarzuciły w r. 1837 Tripplina do Londynu. Z Królewca posiadał listy polecające od sławnej ongi pianistki, Anny Robeny Laidlaw, do jej znajomych i krewnych w Londynie.

Listy te otworzyły mu drzwi do salonu literackiego niejakiej pani Hethrington. Nazwisko Hethrington jest oczywiście *nom de guerre* gwoli swobodzie ironii i sądu. Można przypuścić, że miał to być salon pani Blessington, ekscentrycznej w życiu i powściągliwej w utworach literackich.

W salonie tym spotykało się z pań wnuczkę Radcliffe'a Wolcot-Ratcliff, podróżniczkę Trollope, powieściopisarkę Jane Burney, botaniczkę Lawrence, z panów Disraelego, późniejszego lorda Beaconsfield, Warrena, redaktora True Sun, Williama Bell'a i in.

— Mistres Hethrington, pray Madam, kto jest ten młody gentleman, tak przystojny, rozmawiający tyle z panną Jane Burney? — pytam gospodyni.

— To Charles Dickens, ten sam, który pisze podobno owe *Skethes of London* w „*Morning Chronicle*". Zabawne to artykuły, ale nie wiemy z pewnością czy z jego pióra wypływają. Ma mieć wiele dowcipu; nie znam go bliżej. To literat dopiero poczynający; takich się trzyma jeszcze zdaleka. Przedstawił mi go poczciwy Warren, ja go zaprosiłam, aby go ośmielić. Widzi pan, takich ludzi to się ośmiela na chybił trafił. Ale coś panu wpadł w oko?

— Istotnie, jego twarz taka otwarta, roztropna, rysy tak poprawne: piękny to typ angielskiej szlachetnej twarzy. To on pisze owe Szkice londyńskie? wiele w nich prawdy — wiele dowcipu i duszy, a talentu obserwacyjnego, samoistnego nadzwyczaj wiele, doprawdy!

— Tak, tak, te szkice londyńskie, istotnie niezłe, szkoda tyle talentu zmarnowanego na opis gminnego, potocznego życia. Ale to wcale jeszcze rzecz niepewna, czy Dickens jest ich autorem; on się wypiera tych utworów: to skromność z zarozumiałością granicząca, albo też jakieś dziwactwo charakteru. Jedno z dwojga, przyznasz pan. Mister Charles Dickens (*soit dit entre nous*, ale to pod sekretem, żeby się nie rozniosło, że takich ludzi do mego domu wpuszczam); mister Charles Dickens, mówię, nigdy nie był ani w uniwersytecie, ani w klasycznych szkołach. Proszę pana, co może wydać talent człowieka nieumiejącego ocenić pierwotworów starożytnych.

— O, pani! może wydać wiele, wiele. Talent ogrzany iskrą geniuszu, może wydać coś z kształtu i ducha nowego, piękniejszego jeszcze od pierwotworów starożytnych. A wasz, Shakespeare, moja pani? Ale pan Dickens musi znać grecką literaturę, kiedy oto cytuje Sofoklesa, a właśnie go cytuje pannie Jane Burney. Racz mnie pani przedstawić panu Dickens.

— Panie Hethrington! panie Hethrington! Francis!—zawołała dumna Corinna Bromley!—wyświadcz panu Dickensowi zaszczyt przedstawienia go doktorowi Tripplinowi.

Takie było moje zapoznanie się z pierwszym z dziś żyjących humorystycznych autorów Anglii".

W czasie następnego pobytu Tripplina w Anglii w r. 1841 rzekomo przyprowadził go Dickens do obłożnie chorego i w nędzy pozostającego swego przyjaciela, a nawet mistrza w sztuce pisania, Teodora Hook'a, którym Tripplin do jego śmierci się opiekował.

Jakkolwiek możemy mieć pewne wątpliwości co do relacji Tripplina, to jednak jest pewne, że Dickens stykał się ze społeczeństwem polskim w Londynie, bo należał do towarzystwa „*Literary Association of the Friends of Poland*" (patrz A. Giełgud. „Wychodźcy nasi w Angli". Książka zbiorowa: „Z ziemi pagórków leśnych". Warsz. 1899, str. 321-a).

W kilka lat po ukazaniu się drukiem „Klubu Pickwicka" emigrant polski Felicjan Abdon Wolski zaczął wydawać w styczniu 1843 r. w Glasgow: „Rozmaitości Szkockie". W drugim i trzecim zeszycie tego pisma znajdujemy biografię Dickensa z urywkami pierwszego polskiego tłumaczenia „Klubu Pickwicka". Tłumaczenia tego jest jedenaście stron. Ma ten anonimowy przekład, pomimo że nie jest może bardzo ścisły, bezpośredniość wczucia się w utwór, uwarunkowaną znajomością ówczesnych ludzi, miejsc i stosunków. Pozwólmy więc wypowiedzieć się trochę Jingle'owi w przekładzie „Rozmaitości" i następnie w powszechnie znanym przekładzie Górskiego.

Tak oto piszą „Rozmaitości":

„— Ach, jakże to nagłe w tym świecie przemiany!—rzekł pan Pickwick z westchnieniem.

— Oho, jak widzę to pan filozof! — odezwał się nieznajomy.

— Tak, zastanawiam się niekiedy nad naturą ludzkości.

— I ja *ditto*, szczególniej, kiedy nie mam nic ważniejszego do roboty. A pan poeta?

— Tak, przyjaciel mój Snodgrass ma dużo rzeczywistej w sobie poezji.

— I ja cokolwiek—odpowiedział nieznajomy. Poemat epiczny—dziesięć tysięcy z górą wierszy—rewolucję lipcową — ułożyłem w mgnieniu oka. W dzień Mars ze mnie: w nocy Apollon. Raz bęc z karabina; drugi raz bęc w lirę.

— Czy pan był przytomnym naówczas w Paryżu?—zapytał się pan Snodgrass.

— To się wie. — Paliłem z karabina, i to z ideą w głowie.—Potem co żywo do korzennego sklepu, aby ją zapisać. Znów na ulicę.—Tego w łeb; tamtego w kark! — Znów do korzennego sklepu— za pióro—i dalej—sławne to czasy.

— Czy pan nie myśliwy czasem? — rzekł potem, obracając się do pana Winkle".

A oto przekład Górskiego:

„— Myślałem właśnie—rzekł pan Pickwick— o dziwnej zmienności rzeczy ludzkich.

— A! domyślam się. Dziś wchodzi się do pałacu drzwiami, jutro wylatuje się oknem. Pan filozof?

— Badacz natury ludzkiej, panie.

— Ja także, jak większa część ludzi nie mających nic lepszego do roboty a jeszcze mniej do zarobienia. Pan poeta?

— Mój przyjaciel, pan Snodgrass ma bardzo wybitne zdolności poetyckie — odpowiedział pan Pickwick.

— Ja także — rzekł nieznajomy — napisałem poemat epiczny, dziesięć tysięcy wierszy; za rewolucji czerwcowej; stworzony na miejscu; w dzień Mars, w nocy Apollo; w dzień karabin, w nocy lira.

— Czy był pan obecny przy tych sławnych zdarzeniach?—zapytał pan Snodgrass.

— Obecny? Tak, cokolwiek; mierzyłem w Szwajcarów i wymierzałem wiersze; spisywałem je w handlu win; na ulicy pif! paf! nowa myśl! wracam do handlu; pióro, atrament; na ulicy siekanina. Szczytny czas, panie. Pan myśliwy?—zapytał się nagle, zwracając się do pana Winkle".

Z braku miejsca poprzestaję na tych dwuch przykładach do porównania. Który z tych urywków czytelnikowi wyda się lepszy?

Ilustracje do „Klubu Pickwicka", wykonane przez Hablôt K. Browne'a (Phiz), którego zdolność w rysunkowej charakteryzacji zdradza pokrewieństwo z talentem naszego Kamila Mackiewicza, znakomicie ułatwia nam plastyczne widzenie owych dalekich czasów.

Polscy graficy mało poświęcili swego talentu Dickensowi. Pierwszy bodaj ilustrował Dickensa F. Sypniewski, który umieścił w „Kłosach" z 1865 albo 1866 r. swoje drzeworyty do noweli dickensowskiej p. t. „Anglik. M. E. Andriolli dał jedną ilustrację do legendy w opracowanym przez Adama Pługa zbiorze „Trzy legendy" (1888). Kamil Mackiewicz przedstawił Scrooge'a na tle widma na okładce „Powieści wigilijnej" w wydaniu Biblioteki groszowej. Za najlepszą jednak ilustrację polską do Dickensa uważam okładkę do „Dwóch miast": Doktór Manette z córką (1928), też w wydaniu Biblioteki groszowej.

Przyszłość zapewne wzbogaci naszą grafikę tematami z utworów Dickensa, a naszą literaturę przekładami rzeczy nietłumaczonych, między innymi „Tajemnicy Edwina Drooda". Może nawet ktoś z Polaków pokusi się o odcyfrowanie zagadki zakończenia tej powieści, która niepokoi ziomków Dickensa od dwóch pokoleń i która wywołała pokaźną ilość rozpraw i artykułów.

Może nasze rodzime podania o podziemnych korytarzach między zamkami pomogą rozwiązać zagadkę. Kto wie?

WŁADYSŁAW ZIEMACKI

ŚLADAMI WOKULSKIEGO[1)]

I

Boże miłosierny!... ależ ten drugi pokój, to mój pokój, w którym mieszkałem od lat dwudziestu pięciu. Okno zakratowane, zielona firanka, mój czarny stół... A pod ścianą, naprzeciw, moje żelazne łóżko, dubeltówka i pudło z gitarą...

(„Lalka", t. I, r. X).

Podwórze na Krakowskiem pod siódmym. Zmierzch. [Lato.
W oknie Rzeckiego kratę zmieniono niestety...
Miejsce dość prozaiczne na schadzkę poety
Z boginią. Jednak przyszłaś. To cudnie, Erato!

Pamiętam, pięć lat temu w tem oknie za kratą
W podobny wieczór letni siekano kotlety.
Dziś... Co? Pod oknem róże? Muzo, któż jak nie Ty
Na pokuchennym murze każe kwitnąć kwiatom?

Otóż dziś włada błogo tu cisza przednocna.
Niczego nikt nie sieka. Wywietrzała docna
Woń frytury. Po wiejsku szumią miejskie drzewa:

Topola i kasztany. Boska, czy to czary?
Słyszę, jakby cichutkie brząkanie gitary...
Szczeka pies... Znowu cisza... Szum drzew... Muzo [śpiewaj!

II

... Kopernik z nieruchomym globusem w ręku, odwrócił się tyłem do słońca, które na dzień wychodziło zpoza domu Karasia, wznosiło się nad pałac Towarzystwa Przyjaciół Nauk i kryło się za dom Zamoyskiego, jakby naprzekór aforyzmowi: „Wstrzymał słońce, wzruszył ziemię". Wokulski, który w tym właśnie kierunku wyglądał ze swego balkonu, mimowoli westchnął...

(„Lalka", t. II, r. I).

Krakowskie numer cztery, mieszkania dwa. Dzwonię
Z biciem serca. A nuż mi odpowiedzą, że nie...
Odpowiadają: „Można". Ogarnia mnie drżenie.
Mijam salon, gabinet; staję na balkonie.

Dom Karasia zburzono, lecz po prawej stronie
Kamienica Zamoyskich stoi. Pokolenie
Wyminie ją niejedno. I trwa niewzruszenie
Naprzeciwko balkonu Kopernik na tronie.

Południe. Upał. Wokół pomnika, jak gwiazdy
Wygasłe wokół słońca, krążą samojazdy,
Razporaz porykując tak, że uszy bolą.

Polany wodą asfalt lśni jak lustro. Widzę:
Pod pałacem Staszica, w złocistej kwadrydze,
Naprzekór astronomii przejeżdża Apollo.

STEFAN GODLEWSKI

---

1) Stefan Godlewski z okazji 25-letniej rocznicy zgonu Bolesława Prusa wydał (księg. F. Hoesicka) zbiór sonetów p. t. „Śladami Wokulskiego". Korzystając z jego pozwolenia, przedrukowujemy dwa pierwsze sonety. Red.

SEN STASIA

W przeświadczeniu, że najlepiej uprzytomni Bolesława Prusa (w żałobną rocznicę śmierci) jego żywe słowo, przytaczamy urywek z wczesnej noweli „Przygoda Stasia” bardzo typowy dla tego wielkiego pisarza. Jest to obrazek, w którym znalazło wyraz miłościwe spojrzenie jego na świat zarówno ludzki, jak przyrodzony. Nowela napisana w Warszawie r. 1878. Weszła do t. IV „Pism”.

PEWNEGO dnia położyła matka Stasia w sadzie pod gruszą, podesłała mu płachtę, podwinęła mu koszulkę i mówi:

— Śpijże tu, chłopak, i nie drzyj się, ty jagódko moja, najsłodsza, jaką kiedy Pan Bóg stworzył i słońce wygrzało!...

— A ty, Kurta, ligaj przy nim i pilnuj, żeby mi go kura nie dziobnęła, albo pszczoła nie ugryzła, albo jaki zły człowiek nie urzekł. Ja pójdę buraki pleć, a jak mi się tu nie będziecie dobrze sprawowali, to złapię tyczki i tak wam kości porachuję!..

Ale na samą myśl wykonania groźby, schwyciła chłopca na ręce, jakby mu kto miał istotnie krzywdę zrobić, utuliła go, wycałowała i wyhuśtała, wołając pieszczotliwym głosem:

— Jabym ciebie miała bić tyczką?... To Kurtę psubrata, nie ciebie!.. Mój ty pączku... mój gołąbku... mój synusiu jedyneńki, złoty!... Nie śmiej się ty, Kurto, sobako kudłata!... nie przymykaj ślepiów, nie wymachuj ogonem, bo ty wiesz, że jabym prędzej z ciebie trzy skóry zdarła, niż na niego, na Stasieńka mego serdecznego, jeden patyczek ułamała... Lu!... lu!... lu!... lu!...

A Kurta tył pod siebie zawinął, pysk z gorąca otworzył i czerwony jęzor wywiesił na lewo, jak chustkę. Wyrozumiały pies i chytry!... On myśli sobie: Gadaj ty zdrowa, a ja co wiem, to wiem, że ile razy sienniczek Staszkowi suszyć wypadło, tyle razy dostawał chłopak takie bicie, że w kuźni słychać było!...”

Staś tymczasem tarł oczy tłustemi piąstuszkami i lniano-włosą głowę pokładał na ramieniu matki. Gdyby umiał mówić rozsądnie, niechybnie by jej powiedział:

— Macie mnie kłaść, to kładźcie, bo po tem garnczysku kaszy z mlekiem dobrze człowiekowi spać się chce!...

Chłopiecby już sam zasnął z własnego przeświadczenia, ale matce wydawało się, że go usypiać potrzeba, więc znowu huśtała go i l lulała, śpiewając:

Dopiero gdy jej zaciężył i wetknął głowę między ramię a piersi, położyła go na płachcie, targnęła Kurtę za mokry język i, oglądając się, poszła w głąb sadu.

Staśkowi płachta zgrzebna, a pod nią ziemia, wydały się trochę zimne i twarde po matczynych objęciach. Więc, choć mu nogi doskonale spały, głową ocknął się jeszcze i podźwignął na tłustych rączkach. Chciało się dziecko rozejrzeć: gdzie matka?... a może i popłakać za nią. Ale że był mały jeszcze, więc dobrze rozglądać się nie umiał i zamiast przed siebie, patrzył pod siebie, na murawę. Tymczasem uczciwy Kurta raz i drugi oblizał go zawiesiście po opalonej twarzy i zaczął iskać w głowę tak serdecznie, że Staś upadł na lewy bok, podłożywszy sobie tłusty łokieć pod skroń. Jeszcze chciał się podźwignąć, oparł nawet prawą rękę na płachcie i usiłował rozplątać nożęta. Ale w tej chwili palce u rączki rozbiegły mu się, wiśniowe usta rozchyliły, oczy gwałtem przymknęły i — zasnął. W jego wieku sen bywa mocny, jak najtęższy chłop: pokłada człeka pierwej, nim się z nim zacznie borykać...

Wtedy od łąki świeżo skoszonej, gdzie długiemi rzędami najeżone i pękate kopice dumały, powiał wiatr gorący, jak dmuchanie słońca. Połaskotał przysadziste kopy, pogwizdał w dziuple spróchniałym wierzbom, które napróżno chciały go machaniem gałązek odstraszyć, przecedził się przez pleciony płot i pociągnął po kowalowym sadzie. Zielone liście buraków z ponsowemi wypustkami, wysmukły koper i pierzasta pietruszka zaczęły się trząść, jak w febrze, prawdopodobnie ze złości, bo to leniwy naród i nie lubi, aby go dotykano. A rezczochrana nać kartofli, jaskrawe słoneczniki i blado-różowe makówki kiwały się, jak żydzi w bóżnicy, zgorszone widać lekkomyślnością wiatru, który pszczoły od ulów het odpędzał, a samej kowalowej czepiec na głowie przekręcał, choć ona, mimo dwudziestu jeden lat, matka Stasiowa, pani i gospodyni wszystkiego, co tylko jest w sadzie, w chacie, w oborze i na sześciu morgach pola.

Aj! zbytki! zbytki!... aj, jakie zbytki ten wiatr wyrabia!—szemrały czerwonogłowe makówki, poglądające w niebo słoneczniki i tęga nać kartoflana.

A okrągłe listki gruszy, pod którą Stasia ułożyła matka na spoczynek, jak uczciwe piastunki, szeptały:

— Cicho!... cicho!... cicho!... bo mi dziecinę rozbudzicie!....

Kurcie, który lubił być czynnym i w najgorszym razie przynajmniej karbował wieprzkom kłapciaste uszy, poczęło się okrutnie nudzić.

— Co to za świat! — myślał — na którym dzieci tylko śpią, gospodyni bawi się rwaniem listków, drzewa, zamiast uczciwie pracować, kiwają się i szeleszczą, bocian na klekotanie zrywa piersi, a gospodarz z chłopakami nie robią w kuźni nic, tylko ruszają miechem i kują?... On małym młotkiem bije w kowadło: dyń! dyń! dyń! dyń!... a chłopcy wielkiemi młotami w żelazo: łup! łup! łup! łup!... aż iskry lecą. Stałem nieraz przed kuźnią, tom widział...

I z rozpaczy nad powszechnem lenistwem upadł pracowity Kurta na bok, aż ziemia jękła, spłaszczył się i nogi wyciągnął przed siebie, a chcąc lepiej uwydatnić pogardę dla świata, przymknął oboje oczu, aby na nic nie patrzeć... Wtedy przed wzrokiem jego niespracowanej duszy rozwinęło się pole, pełne kapusty, należącej do gospodarza, wśród której żerowały stada zajęcy, przebierających łapkami i nastawiających uszy, jak palce...

— Ach, damże ja wam, hultaje!—szczeknął Kurta i dalejże gonić szkodników na wszystkie strony!...

Gonił i gonił, a pole przeciągało się do nieskończoności, zające mnożyły się, jak krople deszczu ulewnego, a gospodarz, gospodyni i chłopcy, patrząc na tą bieganinę, wołali: „Aj! Kurta, jaki to pies pracowity, ani godzinki nie odpocznie!...”

A Kurta wyciągnął się i cwałował tak, że aż ogon, który nie mógł podążyć za nim, został gdzieś zdaleka. Ledwie dyszał, ale gonił.

Wtem nad głową marzącego psiska poczęła krążyć mucha i wymyślać mu cieniutkim głosikiem:

— Oj! ty... ty... kundlu jakiś!... próżniaku!... Najadłeś się osypki i, kiedy cały świat rusza się na słońcu, ty leżysz, jak kłoda i drzemiesz!..

Ocknął się pies i kłap na muchę zębami.

— Oj! ty!... ty... kundlu jakiś, legarcie!.. Kazali ci dziecka pilnować, a ty się sam wysypiasz, próżniaku!..

I od tej chwili koper i pietruszka, nać kartoflana, makówki i słoneczniki, wiatr na niebie, oddech śpiącego Stasia, bociany na szopie i młoty w kuźni — wszystko to w takt szemrało:

— Leń Kurta!... leń Kurta!... leń Kurta!...

BOLESŁAW PRUS

NA WIDOWNI

POWIEŚĆ PRUSA JAKO ŹRÓDŁO HISTORYCZNE

DZIEJOPIS, usiłujący przedstawić to, co możnaby nazwać socjologią historyczną, a co zazwyczaj określa się jako dzieje kultury, obyczajów czy gospodarcze, jest zwykle w nielada kłopocie. O ile bowiem do historii zwyczajnej, do przedstawiania dziejów politycznych, dyplomatycznych i wojennych ma przeważnie bardzo bogaty i bardzo przejrzysty materiał źródłowy zebrany po różnych archiwach i przede wszystkiem ma owe opisywane fakty nader konkretne i uchwytne — to przy tej drugiej socjologicznej historii to wszystko niemal całkiem zawodzi. Tam naprawdę trzeba operować jakimś piątym, czy szóstym zmysłem i odczarowywać przeszłość z materiałów więcej niż szczupłych.

Przyczyny tego zjawiska pewnej jakby dwoistości historii szukać należy mojem zdaniem w tem, że owa historia *tout court*, taka jaką ją uprawiano od Herodota aż do czasów ostatnich, i z myślą o której tworzono archiwa, — usiłowała opisać i określić tylko jedną cząstkę tego co minęło. Była to mniejwięcej tylko historia państw, historia rzeczy publicznych, rzeczy niecodziennych, — stąd też owa względna łatwość materiałów. Łatwość kryjąca się w tem, że zwracano uwagę na fakty niezwykłe i za takie już przez swych współczesnych poczytywane. Był więc o nich zawsze jakiś ślad, i odszukanie tego śladu nie było już tak dalece trudne. A więc cała metoda historyczna, całe dziejopisarstwo urobiło się pod wyraźnym wpływem zewnętrznrści opisywanych faktów, — ich stania niejako po za codziennym, szarym życiem tworzącego historię człowieka.

Tymczasem pisarz dziejów cywilizacji stawia sobie za zadanie odtworzenie tego właśnie szarego życia, bo w niem cywilizacja na codzień się wyraża i przez nie tylko można ją ocenić. Są wprawdzie do oceniania jej zasad i podstaw pomniki książkowe i literackie, ale do obserwowania jej praktyki, a więc bez mała poprostu jej samej jedynem źrodłem są ślady życia.

A jasna rzecz, że tych śladów tak dużo nie ma i być nie może. To co zwyczajne i codzienne jest zawsze przez swoje dzisiaj nieco lekceważone, trochę jak domowa praca kobiety. Nie dba się o to i nie pamięta o tem. Wydaje się nam, że to stale jest to samo, gdy tymczasem ciągle się zmienia i w rezultacie nader często stajemy przed absolutną niemal niemożnością stwierdzenia, jakie to codzienne życie było wczoraj.

Zapewnianie o niezmienności człowieka, a co za tem idzie wyciąganie wniosku o tożsamości szarzyzny bytu wczoraj i dziś — jest tylko częściowo słuszne. W niezmiennościach natury ludzkiej tkwią bowiem nieskończone możliwości odmiany, a materialne szranki bytowania też coraz się odmieniają. Słowem historyk cywilizacji staje zazwyczaj wobec konieczności odtwarzania faktów, o których brak prawie zupełnie jakichś danych, a które są z samej natury swojej o wiele mniej uchwytne i określone, jak te co zajmują historyka w tradycyjnem tej nauki ujęciu.

Badania przemian społecznych i związanych z niemi ewolucyj myśli i stosunków do czego zawsze można sprowadzić historię kultury, to zadanie nad wyraz niewdzięczne, choć niesłychanie pociągające. A badacz który temu się poświęci z bardzo różnorodnych materiałów musi budować całość swej pracy.

Przykładem takiej żmudności roboty, a równocześnie różnorodności składających się na nią materiałów jest obszerna, aż sześciotomowa praca Korzona „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta". By dać nam naprawdę pełny obraz Polski Stanisławowskiej, autor przejrzeć musiał foljanty pamiętników, broszur i pism współczesnych, rachunków, rejestrów i wogóle całej masy nic nie znaczących napozór świstków, z których jednak każdy zachował dla nas jakiś ślad chociażby drobniutki owego wewnętrznego, więc szarego nie ciekawego (niby) życia. I jasne z drugiej strony, że tak wyszukiwać owych świstków i szpargałów można bez końca i że badacz dziejów gospodarczo społecznych dużo zręczniejszą musi mieć rękę zarówno w wyszukiwaniu, jak i grupowaniu swoich źródeł.

Jeśli bowiem zestawić źródła jakiemi operuje historyk faktów zewnętrznych z temi, któremi rozporządza historyk faktów wewnętrznych to uderzy pewna jednolitość pierwszych, a niejednolitość drugich. O ile bowiem pierwsze, dotyczące owych wydarzeń polityczno - wojennych nosić będą wszystkie charakter relacyj mniej lub więcej ścisłych — to drugie mogą wprawdzie być relacjami, ale mogą także zasadniczo opisywać rzeczy których nie było, ale których obraz mimo to można zidentyfikować z tem co było naprawdę.

W tem trochę może zawiłem zdaniu chodzi mi o to, że historyk — socjolog, operując oprócz pamiętnika i dokumentu, także broszurą, gazetą i powieścią — natrafia w nich oprócz materiału o charakterze sprawozdawczym, także na pewną przymieszkę fantazji, — na coś czego jednak nie było, ale co pisarz mógł skomponować jedynie patrząc na rzeczywistość i z niej biorąc podniety dla wyobraźni.

Sprowadzając rzecz całą do konkretnego przykładu: Niemcewicz nie nocował nigdy we dworze żadnego z Sieciechów i żadnych tam manuskryptów nie wynalazł; „Dwaj Sieciechowie" są naprawdę tworem jego fantazji — ale tworem nie wyłącznym. Gdyby nie znał całego szeregu Silva Rerum, gdyby nie pamiętał swego saskiego niemal dzieciństwa i nie widział nowego pokolenia i jego czynów — tej książeczki by nigdy nie napisał. Ma więc ona charakter niewątpliwie sprawozdawczy, równie dla historyka cenny, jak powiedzmy pamiętniki Ochockiego, choć co do treści od a do zet jest zmyśleniem. Podobnie np. i „Pa-

miętniki Seglasa" Skarbka są bezcennem źródłem informacyjnem, mimo swej faktury powieściowej.

Oprócz tej powieści o tendencji społecznej przedstawienia swojego dzisiaj, ważną dla badacza jest jeszcze satyra. Ta karykatura rzeczywistości ciekawa z tego względu, że wyolbrzymia wszystkie jej usterki, niewątpliwie jednak zasadniczo operując tem co było. Można tu zastosować przysłowie, że „nie ma dymu bez ognia". Tak więc pierwsza część „Przypadków Mikołaja Doświadczyńskiego" z jej opisem trybunałów lubelskich, równie jest do ich oceny i oddania potrzebna jak pamiętniki Koźmiana, czy już wymienione Ochockiego.

Także i tendencyjna, dydaktyczna powieść pouczająca jak być powinno jest także, choć już znacznie gorszem od obu poprzednich źródłem. Pozwala ona bowiem ocenić teraźniejszość zarówno pod kątem widzenia ideałów (czego lepsze jednostki w społeczeństwie chciały, jakie typy uważały za dodatnie) jak i braków. Przykładem konkretnym, operując wciąż czasami Stanisławowskiemi, byłby Krasickiego „Pan Podstoli".

I streszczając ostatecznie te wywody, można ogólnie stwierdzić, że każda powieść mająca ambicję społeczną i malująca człowieka w społeczeństwie i w jego stosunkach społecznych jest z natury swojej źródłem historycznem — nie jest niem tylko powieść psychologiczna, powieść analiza, choć i ona niem być może, jako *signum temporis*, jako świadectwo myśli wieku, a więc już w całkiem inny sposób.

* * *

Ale gdzież tu mowa o Prusie? słusznie może zapytać czytelnik. Otóż rzeczywiście tytuł tego artykułu nieco myli, bo cały ten długi wstęp poniekąd ważniejszy w nim od owej treści prusowskiej. Ale przeczytawszy wstęp — jasno widać, że powieści Prusa są dla badacza dziejów pozytywizmu materiałem pierwszorzędnym.

Należy bowiem Prus do tych autorów co człowieka widzą przede wszystkiem w społeczeństwie i w tem społeczeństwie przedstawiają, a także tych, których fantazja ma w sobie coś z kliszy fotograficznej: — raczej naświetlając po swojemu rzeczywistość, jak ją twórczo przetwarzając. I stąd postacie jego, typy i środowiska są niewątpliwie prawdziwe i w pewnym sensie wmurowanie tablic Wokulskiemu i Rzeckiemu było stwierdzeniem tej niewątpliwej realności ich bytów.

Wartość powieści prusowskiej jest tu także i o tyle ogromna, że interesował się on całokształtem polskiego życia i że w utworach swoich łapał na gorąco wszystkie jego problemy. Mamy więc sprawy wsi w „Anielce" i „Placówce", sprawę miejską i żydowską w „Lalce" (prócz całego szeregu innych) — sprawę kobiecą i małe miasteczko w „Emancypantkach" i tak bez końca wszystko, czem ówczesna Polska żyła, w całem tem mnóstwie kronik i noweli aż do nieukończonej niestety powieści „Przemiany".

I wydaje mi się, że dla okresu pozytywistycznego, dla zobrazowania jego życia, pojęć i myśli, sam Prus i jego dzieło jest czemś reprezentacyjnem, że w niem właśnie najlepiej wyraził się duch epoki i równocześnie najpełniej — bo nieśmiertelnie. I gdy cały szereg takich utworów jak sporo owych na początku przezemnie wymienionych wyzbyło się już doszczętnie wszelkiej artystycznej wartości, interesując dziś jedynie badacza — to spuścizna Prusa jest tu o wiele bardziej żywa i żywotna. Prawda, że od śmierci tego pisarza upłynęło dopiero dwadzieścia pięć lat, ale też kto wie czy on raczej nie urósł w naszych oczach.

Jaka konkretna rzeczywistość znalazła odbicie w twórczości Prusa i obserwacja jakich faktów nasunęła mu ich literackie opracowanie, stanowi to przedmiot zainteresowania polonistów i oni tem też z powodzeniem, się zajmują (Życzyński, Szweykowski) — ja bym tu jeszcze zwrócił uwagę na to, że pokazuje on nam, jak zwyczajny zjadacz chleba, czy też człowiek bądź co bądź bardzo do niego zbliżony, pojmował wielkie idee swoich czasów. W kreśleniu tego Prus satyryk jest niezrównany; — zwróćmy tu zwłaszcza uwagę na „Emancypantki" z ich panną Howard obuczającą biedne Korkowiczówny i małomiasteczkowe ambicje nieszczęsnej Eufemii.

Zmysł społeczny Prusa w kreśleniu typów i środowisk idzie tak daleko, że nawet w utworach poświęconych raczej analizie duszy ludzkiej — daje on przede wszystkim świetny obraz tego co ową główną dla powieści jednostkę otacza. Najtypowszą, byłaby tu „Anielka", jedyny może utwór Prusa, który możnaby uznać za powieść psychologiczną, za patrzenie na kogoś — a nie na coś. Dał w niej prześliczny obraz nerwowej dziewczynki i przeżyć i dramatów dzieciństwa, ale też dał w zamierzeniu twórczem, chyba mimochodem; także i niesłychanie wyrazisty obraz zbankrutowanej wsi i antagonizmów dworu z gromadą — równie cenny jak w „Placówce", choć z innego punktu obserwacyjnego widziany.

To też nie ma ani jednego (poza oczywiście historycznym „Faraonem") utworu Prusa, którego lektura nie byłaby elementarnym obowiązkiem badacza dziejów kulturalno-społecznych pozytywizmu. I wszelki badacz pragnący dać naprawdę pełny i dogłębny obraz tej epoki musi doskonale znać Prusa. Oczywiście stanowi on tylko jedno ze źródeł, ale jedno z najważniejszych. Wywody filozoficzne z „Emancypantek" i „Faraona" mogą trochę zastąpić studia nad Ochorowiczem czy Majewskim; — uważna lektura „Placówki" jakieś żmudne grzebanie się w archiwach Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i t. d. — ale śmiem twierdzić z całą stanowczością, że nic badaczowi tej epoki nie zastąpi Prusa i tego co on daje.

No ale dla każdego z nas jest Prus przede wszystkiem zawsze wart czytania jako pisarz i to zapewne najważniejsze; a gdy moda dziś na wielkie powieści społeczne, dobrze pamiętać, że takiemi są „Lalka", pokazująca społeczeństwo przez pryzmat sklepu i kamienicy, czy „Emancypantki", gdzie taką samą soczewką jest żeńska pensja, — Prus stanowczo powinien być dzisiaj bardzo modny i chyba jego zbiorowe wydanie będzie naprawdę czytane, a nie jakąś martwą ozdobą biblioteki.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

POSTĘPY ODŻYDZANIA

W tygodniu ubiegłym zaszły fakty, świadczące korzystnie o dojrzewaniu świadomości narodowej w Polsce. Nasza jaźń już się była rozdwoiła, nie bardzo już zdawaliśmy sobie sprawę, czy mamy patrzeć na świat i na swoje własne interesy oczyma polskimi, czy też żydowsko-polskimi przez asymilacyjne zakomodowanie wzroku. Rzecz ciekawa i ważna, że ten proces uświadomienia postępował na rzucone hasło od dołu, od ludu. Wpierw zrozumiały sprawę instynkty ludzi zdrowych, niż mędrkujące i nałożone do samooszukiwania się umysły inteligencji.

„Kurier Poznański" (w nr. 2 16.IV) zwraca uwagę na ankietę w „Wiad. Literackich." Pisarze polscy (Zegadłowicz, Pruszyński) pocą się nad wynajdywaniem argumentów za asymilacją i judofilstwem, pracują nad pomyleniem myśli polskiej. Spełniają jakiś obowiązek służbowy, a może robią im przyjemność wygłupiania się szlakami staroświeckiej myśli demo-liberalnej. Najoporniejszymi na prądy twórcze są myśliciele profesjonalni, a zwłaszcza ci, którzy w doktrynie znaleźli sposób na frazesy wolnościowe i niepodległościowe. Wymowa życia ich nigdy nie pokona, pomimo, że tak wiele prawią o rzeczywistości.

Potrochu i oto literatów, siedzących wysoko u steru opinii, dojdzie wznoszący się stale poziom patriotyzmu. Obecnie byliśmy świadkami decyzyj aryjskich, powziętych przez zjazdy adwokatów polskich i lekarzy polskich. Na wieczną rzeczy pamiątkę podajemy początkowe słowa uchwały zjazdu adwokatów:

Obradujący w Warszawie w dniach 8 i 9 maja ogólny zjazd Związku Adwokatów Polskich, witając z radością dokonany fakt zjednoczenia w Związku Adwokatów Polskich adwokatów Polaków — bez różnicy przekonań politycznych i poglądów społecznych, w imię zdecydowanej walki o uchronienie adwokatury przed obcym zalewem i przywrócenia jej prawdziwie polskiego oblicza i charakteru, a zarazem w imię dążenia do dźwignięcia adwokatury polskiej na poziom najwyższy, dając wyraz niezłomnej woli zjednoczonej adwokatury polskiej prowadzenia podjętej walki o polskość adwokatury w Polsce aż do zupełnego osiągnięcia zamierzonego celu stwierdza:

a) Sprawa polskości adwokatury nie jest jej sprawą wewnętrzną. Racja stanu Rzeczypospolitej i interes narodu polskiego wymagają utrzymania polskiego charakteru adwokatury jako czynnika, powołanego do spełniania ważnych funkcyj o charakterze państwowo-społecznym, wywierającego ważki wpływ na kształtowanie się pojęć prawnych i etycznych społeczeństwa, na jego stosunek do wykonywania obowiązków publicznych oraz do sądów i urzędów.

b) Zapewnienie polskiego charakteru adwokatury i wytworzenie niezbędnego dla narodu i państwa polskiego typu adwokata jest niemożliwe bez zasadniczej zmiany obecnego stosunku liczebnego w adwokaturze Polaków i żydów i przywrócenia na tej drodze Polakom właściwej przewagi a tym samym decydującego głosu w organach samorządu adwokackiego.

c) Nieproporcjonalnie wielka w porównaniu z odsetkiem ludności żydowskiej w państwie, rosnąca od szeregu lat w coraz szybszym tempie liczba adwokatów żydów przekracza już dzisiaj połowę ogólnej liczby adwokatów w całym państwie a w poszczególnych izbach adwokackich stanowi przytłaczającą przewagę. Taki stan godzi w istotny interes narodu i państwa, musi za tym ulec radykalnej zmianie.

Aby stan obecny nie uległ dalszemu pogorszeniu, konieczne jest niezwłoczne zahamowanie dopływu żydów do adwokatury i do aplikacji adwokackiej."

Również 9 maja zjazd delegatów Związku lekarzy Państwa Polskiego 140 głosami uchwalił wykluczenie żydów ze związku.

Uchwały powyższe społeczeństwo polskie powitało z radością, jako hojny Dar Narodowy złożony w tradycyjnym maju przez wolne zawody polskiej inteligencji.

DZIECINNE KAPRYSY

Fala odżydzająca Polskę dosięgła już wyżyny takich pomostów judeo-polskich, jak prasa liberalno-postępowa. Ani się spostrzeżono, kiedy spłynął z tą falą odrzucony na brzeg żydowski — akademik Rzymowski z towarzyszami.

Z ruin tej niesamowitej budowli powstał obecny „Kurier Poranny" jako organ OZON-u. Jest to godne uznania, ale dla czego nowa redakcja tak śmiesznie poczyna swoją działalność od składania przysiąg, że ta obecna pozycja dziennika nie znajduje się w żadnym przyczynowym związku z ruchem umysłowym, zainicjowanym przez Stronnictwo Narodowe? Myśmy — powiada — sami, samorzutnie przerobili dawny pomost żydowski na posterunek polski.

Mniejsza o to — wzruszające mogłoby zrobić wrażenie takie znane u dzieci: „ja sam." Ale brzydkie są wykręty, gdy publicysta tak oryginalność swego stanowiska uzasadnia:

(podkreślenia nasze)

„Dążenie do rozwiązania sprawy żydowskiej rozwija się *całkiem niezależnie* od agitacji endeckiej, która nawet nieraz *szkodzi w najwyższym stopniu* pozytywnemu załatwieniu tej sprawy, mając w gruncie rzeczy *inne partyjne cele* na oku. I napewno z tego punktu widzenia agitacyjny i partyjny antysemityzm „endecji" jest w wielu wypadkach *na rękę* żydom."

Słowa te podyktować mogła tylko nieodparta potrzeba kłamania. Redaktor, który to pisze, jeśli umie coś sensownego powiedzieć w sprawie żydowskiej, zawdzięcza to wychowaniu, jakie odebrał w stronnictwie Narodowym. Niedawno przecież stamtąd się ulotnił. Byłby teraz w kłopocie, gdyby go zapytano, jakie to „partyjne" cele na oku ma obóz narodowy, od 50 lat studiujący sprawę żydowską, a od 30 lat wojujący o wyzwolenie narodu z hańbiącej od żydów zależności.

PRZECINAJĄCE SIĘ OSIE

Drobny na pozór incydent. Mussolini odwołuje dziennikarzy z Londynu. Incydent ten przybiera jednak na wadze, jeśli się weźmie pod uwagę, że stało się w momencie uroczystości koronacyjnych. Odpowiedź na nieuznanie króla włoskiego imperatorem. Pozatem Włosi opuszczają ponoć Ligę Narodów. Oś Rzym — Berlin poczyna się tedy realizować. Według pogłosek krążących w świecie politycznym, kwestia ta wychodzi już ze sfery projektów i konkretyzuje się, stając się tematem rozmów między dyktatorem Italii a dyktatorem Rzeszy.

Oczywiście wzmacnia ona niebywale pozycje krajów odrodzonych ożywczym prądem narodowych rewolucji. Koncepcja osi Rzym — Berlin, poparta projektowanym układem wojskowym, stwarza żelazną zaporę między ośrodkiem komunizmu — Rosją i lennikiem obecnym Moskwy — Francją Bluma. Jest to jednak tylko jedna strona medalu. Drugą stanowi wzrost niebywały imperializmu niemieckiego, wzmocnienie się jego natężenia. Oparcie o Włochy skonsolidowane idealnie, umocnione zwycięską wojną abisyńską, budujące sobie wreszcie mocną pozycję na Adriaty-

ku oraz Morzu Śródziemnym (co omawialiśmy niedawno na łamach „Myśli"), to sukces dla polityki hitlerowskiej nie mały. Rychło należy oczekiwać i konsekwencji.

Ale tworzoną obecnie oś ma przebić inna, nie bez poparcia Anglii oraz Francji. Ideowo nam niemiła, niemniej jednak godząca w niebezpieczeństwo grożące Polsce z powodu owej wyrastającej zapory wprawdzie, ale dosłownie żelaznej. Oczywiście wagę istnienia poprzecznej osi stanowiły by państwa naddunajskie, przy czym Czechosłowacja wykazuje dzisiaj zadziwiającą ruchliwość, której jej zresztą, nawiasem mówiąc, nigdy nie brakowało.

Jakie będzie stanowisko Polski? Oczywiście możemy się tylko domyślać. Przypominamy, że podczas swej wizyty w Bukareszcie minister Beck wypowiedział szereg zdań, które by wskazywały na to, iż zamierza iść w kierunku zmian stosunków międzynarodowych, nowego politycznego układu. Układ ten biłby przede wszystkim w Ligę Narodów, a Liga Narodów — wiadomo — jest dzisiaj narzędziem polityki brytyjskiej. Oczywiście, ze słów wypowiedzianych trudno było i niezwykle i jak zwykle zrozumieć o co chodzi naszemu kierownikowi polityki na terenie zagranicznym. Skrupulatni obserwatorzy życia politycznego widzą w tym zapowiedź zmiany traktatów, uderzenie w Traktat Wersalski. I z tego powodu podniosły się głosy krytyczne, które, przyznać trzeba, spłoszyły nieco swadę słów ulicy Wierzbowej.

Powiedzieliśmy już wyżej, iż trudno jest przewidzieć, jakie będzie stanowisko Polski. Może pozycją punktu, w którym się przetną właśnie owe dwie osie? Punktem, kropką.

(Dla ogółu, niestety, rozmyślanie nad tym zagadnieniem musi się skończyć raczej wielokropkiem).

25 LAT TEMU

W dn. 21 maja 1912 r. odbyła się w Warszawie smutna uroczystość pogrzebu Aleksandra Głowackiego (Bolesława Prusa). Mamy w ręku „Słowo Polskie" (Lwów) z opisem tego pogrzebu, nadesłany w komunikacie z Warszawy:

„Był to pogrzeb, a więc smutna uroczystość, a jednak wspaniałym widokiem zespolenia tysiącznych tłumów wszelkich stanów, powołań, wieku, stanowisk społecznych, zgromadzonych dla oddania czci i hołdu wielkiemu pisarzowi — budził w sercach, obok głębokiego żalu, jakąś otuchę krzepiącą.

„Bo to cały naród zjednoczony chował swego wielkiego pisarza, nie Warszawa tylko. Mnóstwo delegacyj ze wszystkich stron ziem polskich złożyło się właśnie na reprezentację całego narodu u jego trumny. To zjednoczenie przedstawicieli milionów w jednej ogromnej, krzepiącej serca manifestacji narodowej czci i hołdu nietylko dla człowieka, ale dla idei, którą wcielał w sobie, przedstawiało widowisko podniosłe, niezwykłe, przypominające, że naród przeżywa jakąś chwilę wyjątkową, chwilę zespolenia swych uczuć i myśli, i że ten, co był samą miłością, co w swem sercu łączył i jednoczył wszystkich, łączy ich teraz i jednoczy u swej trumny, tworzy tę jedność, co życiem jest dla narodu, więc swą śmiercią jeszcze przyczynia się do życia.

„Patrząc na tę wspaniałą manifestację jedności, na ten pogrzeb niebywałej świetności, a przecież prawie bez banalnej pompy pogrzebowej, zdało nam się, że widzimy skromną, niepozorną postać Prusa, jak patrzy na to wszystko i zwoim zwyczajem, zażenowany, zaambarasowany tym całym wspaniałym obchodem, woła do nas: — Ależ, bójcie się Boga, co wy robicie, co robicie!"

Przytaczamy te słowa, aby przypomnieć ówczesną atmosferę Polski, kiedy to rządy dusz sprawowały wielkie duchy przez jednoczenie serc ideą narodową.

Na Powązkach, nad grobem przemawiali: Ignacy Chrzanowski imieniem Akademii Umiejętn. i Warsz. Tow. Naukowego, Ignacy Matuszewski (Kasa Lit. i Tow. Lit.), adw. Adolf Suligowski w imieniu obywateli stolicy, prof. Julian Kosiński jako przedstawiciel Tow. Higieny Praktycznej im. B. Prusa, oraz red. „Tygodn. Illustr." Artur Oppman (Or-ot). Z tych, co przemawiali jeden tylko Ign. Chrzanowski opowiedzieć nam może, jak to było. Inni nie żyją.

NAUKA i LITERATURA

CENNE PRZEKŁADY

BIOGRAFIA historyczna, która dawniej, jeszcze w początku naszego stulecia, zaliczała się do literatury naukowej po wojnie rozwinęła się ogromnie w nowej formie— dzieła literatury pięknej. Jednocześnie z zanikiem pierwiastka wyobraźni w beletrystyce i rozkwitem tak zwanego reportażu, czyli dowolnych fantazjowań w opisach konkretnych faktów, pojawiały się monografie-reportaże Ludwigów, Zweigów i naszych domorosłych Belmontów, które w szybkim tempie przerabiając materiał nagromadzony przez badania historyczne, produkowali masowo i tuzinkowo romantyczne opisy życia królów i bohaterów. Materiału do fabuły nie brakło, a resztę robiła zręczność i spryt kompolatorski, tymbardziej że żydowska bezceremonialność nie dopuszczała troski o prawdziwość obrazu, psychologiczną, czy historyczną.

Tym bardziej pojawienie się poważnego dzieła z tego gatunku musi budzić zainteresowanie. Nasz kontakt „przekładowy" z zachodem jest, jak wiadomo, luźny i uzależniony od widzimisię przeróżnych geszefciarskich żydków „robiących w tej branży". Wielu wielkich pisarzy dostępnych nam jest tylko w oryginałach, gdy moc bezwartościowego śmiecia zapełnia półki księgarskie. „Saga Forrytów" ukazała się u nas w dwadzieścia lat po wydaniu pierwszego tomu w Anglii, a D. H. Lawrence pozostaje nietknięty poza najgorszą swoją powieścią. To też nie dziwimy się, że dopiero teraz ukazał się przekład dwuch czołowych dzieł jednego z twórców nowoczesnej biografii historycznej pojętej jako dzieło sztuki: Lyttona Strachey'a [1]). Świetny ten stylista, obdarzony talentem pisarskim a także ogromną kulturą dziedziczną i osobistą, dużym zmysłem krytycznym i znajomością psychologii, był predestynowany do twórczości w tym kierunku i tu dopiero trafił na właściwy grunt, przenosząc swoje zainteresowania z krytyki literackiej na „*biographie romancée*".

Sposób jego pisania różni się znacznie od stylu naukowych wycinków historii. Interesuje go przedewszystkim jego bohater jako człowiek, z wypadków zanotowanych w kronikach dobiera tylko te, które mu są potrzebne dla scharakteryzowania głównej postaci tak jak on ją widzi, opatrując je własnym obszernym komentarzem, interpretując, układając w jedną *par excellence* całość artystyczną wizerunku.

Dlatego niejeden historyk napewno z irytacją będzie rzerzucał kartki książek, których opinia tak bardzo czasem, się różni od sądów przyjętych przez tę lub ową oficjalną szkołę. Ten za to, kto będzie chciał czegoś się nauczyć o człowieku wogóle, usłyszeć ciekawy pogląd inteligentnego i subtelnego człowieka na epokę, która go interesuje, zagłębi się w biografi Strachey'a, niełatwo się od niej oderwie

[1]) Lytton Strachey: „Królowa Wiktoria" przekład Antoniego Pańskiego; tenże: „Królowa Elżbieta i hrabia Essex" przekład Marii Godlewskiej. Warszawa. Tow. Wydawnicze „Rój", 1937.

i zaczerpnie wiele zapładniającej treści. Lekka w formie, a przecież tak bogata w zawartość, tak opracowana, że nie można się prześlizgiwać po kartkach, ale trzeba powoli się w niej rozsmakowywać, twórczość znakomitego pisarza angielskiego należy do szczytowych dzieł literackich naszej epoki.

„Królowę Wiktorię" traktuje autor z subtelną, ale bardzo chwilami gryzącą ironią. Jest synem epoki, która była reakcją na całą brzydotę mieszczańskiej kultury angielskiej w XIX wieku, usymbolizowanej w postaci królowej, przez sześćdziesiąt cztery lata panującej nad tą kulturą. A przecież w ciągu pisania stosunek ten widocznie się zmienia: coraz więcej sarkastycznych uwag trafia w epokę i w księcia małżonka z całą jego niemiecką gruboskórnością i brakiem polotu, coraz więcej ciepłego uczucia spowija postać królowej, niepostrzeżenie kształtując się w apoteozę. Ostatni rozdział, obraz sędziwej władczyni otoczonej miłością wiernych poddanych, z których większość nie pamięta korony na innej spoczywającej głowie, to obraz malowany krwią serdeczną; złośliwcy brytyjscy pisali: Strachey zakochał się w królowej Wiktorii. To dowód najoczywistszy prawdziwego przejęcia się tematem bliskiego stosunku do swego bohatera, nieodzowny warunek wartości dzieła sztuki.

Specjalnie wydaje się interesować autora zjawisko panującej kobiety i tajemnica rządów, na które niby to wywierają zasadniczy wpływ powiernicy, a przecież centralną osobą i prawdziwą władczynią pozostaje ta, która formalnie zasiada na tronie. Do tematu tego powrócił w kilka lat po napisaniu „Królowej Wiktorii", zająwszy się drugą wielką kobietą, która nosiła koronę Anglii — Elżbietą. Tutaj wizerunek nie jest pełny—znaczna jego część naszkicowana jest skrótowo w początkowym rozdziale jako założenie. Treść istotną stanowi stosunek Elżbiety do swego ulubieńca Essexa i do swych istotnych doradców—Cecilów. Niezmiernie ciekawa koncepcja Stracheya, który widzi w królowej uosobienie chwiejności, braku decyzji i niechęci do czynu i w tych cechach właśnie doszukuje się przyczyny jej sukcesów, a obok niej wspaniała postać Essexa, człowieka pełnego uzdolnień, ulubieńca mas i samej Elżbiety, a przecież z dziwną intuicją odsuwanego od jakiegokolwiek realnego wpływu i postacie świetnych polityków, choć w ukryciu pozostających, Cecilów—wszystko to rzucone jest na bujne tło renesansowego życia złotego wieku Anglii, przetkane dyskretną nicią zagadki, zadumy wobec tajemnic życia i tajemnic władzy, gdzie przeznaczenie i wola jednostki w ciągłej ze sobą walce kształtują historię ludzkości.

Tendencje Strachey'a nie zawsze są nam bliskie i nie zawsze wydają się konsekwentne: agnostycyzm dziewiętnastowieczny łączy się z momentami przejawiającymi gorącą wiarę w Boga, purytańska niechęć do obrzędowości dodana do tego „świeckiego", racjonalistycznego sposobu patrzenia, który każe mu szydzić z katolickiej Hiszpanii Filipa jako kraju ciemnoty, łączy się z gorącym umiłowaniem renesansowej bujności przepychu i okazałości i z wcale nie racjonalistycznym tłumaczeniem, a właściwie stwierdzeniem niewytłumaczoności tajemnych drgnień duszy ludzkiej. Porywa nas jednak zawsze niezwykła świeżość i prawdziwość niezaprzeczona natchnienia, żywość odczucia, plastyka w kończących każdy rozdział „Królowej Elżbiety" obrazach, subtelność zabarwionego ironią humoru, wytworność stylu. Przekłady Lyttona Stracheya, zresztą nieźle zrobione, zaliczyć należy do najwybitniejszych pozycyj literackich bieżącego roku na tym polu. FR. ORZECHOWSKI

RUCH WYDAWNICZY

Jerzy Hulewicz. „Córa Oxymoru". Powieść. Warszawa 1937. Dom Książki Polskiej

Powieść ta, już na pierwszy rzut oka, zwraca uwagę swą formą zewnętrzną. Są to raczej dwie powieści o akcjach z sobą współrzędnych, a w charakterze i tonie literackim całkiem odrębnych. Powieść, dzieje się wprawdzie w fantastycznem mieście, ale traktowana metodą realistyczną, i druga, opowieść metafizyczna, drukowana obok kartek pierwszej, niejako na jej marginesie, innym drukiem. Akcja jednej i drugiej powieści rozwija się w kierunku rozwiązania zagadnienia ideowego, różnicy między cywilizacją i kulturą. Autor, filozof i poeta, jest wielce interesującą indywidualnością. Studia badawcze nad literaturą hinduską, znajomość kultów starożytnego Wschodu i rozmiłowanie się w historii sztuki egzotycznej, nadają jego utworom cechy niezwykłej oryginalności. Trzeba też nadmienić o jego i jego brata, Witolda, poety, ofiarności na ołtarzu sztuki. Pp. Hulewicze własnym hojnym kosztem wydawali w Poznaniu przez kilka lat, na wysokim poziomie tyg. „Zdrój", co w pracy nad odrodzeniem Poznania i Wielkopolski rzetelną było zasługą. (A. W.)

TEATR

SHAW: „KORSARZ I LADY"

W TEATRZE Narodowym wystawiono starą sztukę Shaw'a, bardzo angielską zarówno z maniery artystycznej, jak i z ducha. O manierze Shawa nie trzeba pisać, bo jest wszystkim znana. Komedia jego pragnie być ilustracją teorii Spencera o pochodzeniu sztuki, jakoby wywodziła się ona z igraszek temperamentu, szukającego wyładowania w beztroskiej zabawie. Szkoła ta przytacza jako wzór zabawy psów, tarmoszących się wesoło i bez celu. Stąd pogląd na sztukę jako na rozrywkę.

Shaw jednak w tej formie figlów daje widzom to i owo do pomyślenia. Tutaj podsuwa widzowi łatwy do wysnucia wniosek: Jednakże mocna jest ta W. Brytania!—Aż przykro pomyśleć, że tak mało sztuk polskich z podobnym wnioskiem co do Polski widuje się na scenie naszego teatru Narodowego.

Proszę posłuchać. Shaw, żeby pokazać, jak wielka jest potęga Anglii, rzuca na Saharę gdzieś u podnóża Atlasu damę z Londynu. Podróżuje ona w towarzystwie starego szwagra, sędziego. Nie mają żadnej broni przy sobie. Spacerują jak po ulicach Londynu albo na Capri. Pani w jasnej jedwabnej sukience i z pieskiem na ręku. Zatrzymują się w domu misjonarza, ciemięgi, zajętego hodowlą kwiatków na wdzięcznej pergoli.

Sielanka jednym słowem, a tymczasem groza wisi nad nimi. Otoczeni są zbójami. Eskorta, którą misjonarz daje gościom, idącym na spacer w góry, składa się z bandytów, a wódz ich w dodatku (korsarz) ma plan zamordowania sędziego przez zemstę, że ten zasądził jego matkę. I tak się dzieje — pojmani są turyści w jassyr. Zbrodnia się czai, publiczność w trwodze. Ale na twarzy turystów ani śladu niepokoju. Rozkoszna lady pokpiwa z bandytów, kapitan zakochuje się w niej. Podczas rozprawy z bandą arabów wśród strzałów pani ceruje bandycie kurtkę...

Dla czego jest tak spokojna? Bo jest Angielką, bo wie, że jej w sferze wpływów W. Brytanii włos z głowy spaść nie może. Obywatelką jest Anglii.

Przypomina się anegdota z *„Fliegende Blaetter"*. Chłopczyk rozpowiada, że jak dorośnie, pójdzie na Saharę.—A nie będziesz się bał lwów?—pytają go. — Będę przecież zawsze chodził trotuarem.

Oczywiście i tutaj lwy spuściły ogon, bo między bandytami byli detektywi, którzy sprowadzili z okrętu marynarzy i ocalili więźniów.

Jest jednak pewna obosieczność w anegdocie Shawa. Zdaje się, że miał na myśli i to, iż owa miła lady jest więcej bezmyślna, niż odważna. Przywykła do komfortu politycznego i wydaje jej się, że nigdy nie może być inaczej, że zawsze armaty ze statków angielskich wszystkiemu zapobiegną... Shaw, jakby się bał tej psychologii. Odróżnia odwagę od dziecinnego braku poczucia niebezpieczeństwa.

Główną rolę pięknej „poskromicielki" lwów grała jak zawsze z humorem i wdziękiem p. Ćwiklińska. Korsarza robił p. Węgrzyn. W innych rolach odznaczyli się pp. Brydziński, Dominiak, Łapiński i in.

Trudno było na przedstawieniu opędzić się refleksji, że jednak cała ta komedia jest właściwie librettem do operetki. Jakże piękny byłby to popis sopranistki, tenora, basa, barytona, chórów, muzyki orientalnej, kostiumów!

Widywaliśmy operetki znacznie poważniejszej osnowy.

Z. W.

ZE ŚWIATA SZTUKI

UWAGI Z POWODU SALONU RZEŹBY

Poraz pierwszy Instytut Propagandy Sztuki wydzielił dzieła rzeźbiarskie, z ogólnego materiału wystawowego i urządził rzeźbiarzom oddzielny Salon, na którym mogli oni pokazać swe prace, z okresu ostatnich pięciu lat. Zwyczajem praktykowanym w IPSie, zawsze po otwarciu tego Salonu, zaproszano krytyków działu plastyki na konferencję prasową, by wespół z wystawiającymi i organizatorami wystawy, poruszyć pewne zagadnienia dotyczące rzeźby.

Nigdy nie zdawałem sprawy z takich konferencji na łamach „Myśli", ale teraz opowiem wam conieco, o czem na tej „prasowej herbatce" mówiono. A to dlatego, iż wypowiedziane zostały na niej, między innemi, poglądy bardzo znamienne dla naszego życia artystycznego, a także zadawano sobie wzajem pytania, na które nikt nie chciał, czy też nie umiał odpowiedzieć. Na samym wstępie, jeden z rzeźbiarzy starszego pokolenia skierował pod adresem prasy zarzut, że nie interesuje się wystawą, że nic, albo niewiele robi w tym celu, by przysporzyć jej zwiedzających. Przydługie to oskarżenie miało chwilami akcenty niesmaczne: nie można się było oprzeć wrażeniu, iż chodzi tu o coś w rodzaju polowania z nagonką. Zaszczytną rolę naganiaczy mieliby pełnić krytycy. Idąc zwartą ławą, pokrzykując, czyniąc rwetes i wszelki możliwy hałas (jak to robi nagonka) powinni płoszyć zwierzynę (czytaj: publiczność) i wpędzać ją wprost pod obstrzał myśliwych (czytaj w tym wypadku: rzeźbiarzy).

Reklama to dobra rzecz, ale nie należy przesadzać — cudownym lekiem nie jest. Owszem, przy pomocy ogłoszeń, informacii, radia i t. p. można dla popularyzacji tej, czy innej, wystawy bardzo wiele dobrego zdziałać. Ale przecież tu chodzi o popularyzację sztuki wogóle, obojętność wobec niej wypływa z niedomagań kulturalnych naszego społeczeństwa. A niedomagań kultury nie można leczyć z dnia na dzień, dorywczemi środkami, choćby jaknajczęściej stosowanemi. Widza na wystawę nie powinno się wabić, ale go dla niej wychować. Należy tak kształcić i wychowywać młodzież, by pewne potrzeby kulturalne stały się jej wrodzone, by ona, gdy dorośnie, sama, z własnej ochoty, ku sztuce się zwracała. Wielką rolę mogą tu odegrać lekcje rysunków w szkołach średnich, rozumiane, zwłaszcza w starszych klasach, jako wykłady wiedzy o sztuce i podstawowych zagadnieniach estetycznych. U nas zbyt wiele osób jeszcze myśli, że t. zw. „rysunki" w szkołach są niepotrzebne, bo przecież „na artystów tej młodzieży się nie wychowuje". Jeden z niedawnych ministrów, z popularnego, choć skromnego zespołu braci J., powiedział kiedyś: „ja rysować nie umiem i jestem ministrem, to znaczy t. zw. rysunki w szkołach średnich nikomu do szczęścia nie są potrzebne".

Co do roli prasy, to jej robotę propagandową należałoby w pewnej mierze przerzucić na czas przed otwarciem wystawy, wówczas na wystawę widz przychodziłby już choć trochę przygotowany. Będzie to jednak możliwe dopiero wtenczas, gdy sposoby porozumiewania się i współpracy instytucyj wystawowych z referentami działu plastyki ulegną zmianie i usprawnieniu. Zarzut obojętności, skierowany pod adresem krytyków sztuk plastycznych, należy przesłać na ręce kierowników pism codziennych. Prasa codzienna lekceważy sobie w najwyższym stopniu sprawy sztuki. Pisze się całe szpalty o tem, dlaczego ten, lub ów, wysportowany dryblas n i e w z i ą ł u d z i a ł u w jakimś meczu, lub zawodach; nie pisze się nic o tem, że jakiś znakomity artysta w z i ą ł u d z i a ł w wystawie.

Po tym przydługim uskoku w bok, wróćmy na teren właściwy, Salonu rzeźby. Rzeźbiarze się skarżyli, że ludzie okazują rzeźbie mniej zainteresowania, niż innym działom plastyki. Czy nazwiemy to brakiem zainteresowania, czy inaczej, możemy stwierdzić jedno: rzeźba jest rzeczywiście (jak dotąd) mniej popularna. Różne są powody po temu, niektóre zapewne natury głębszej; nie kusząc się o wyczerpujące wyjaśnienie kwestii, przytoczę kilka mojem zdaniem dość istotnych przyczyn. Złożyły się na taki stan rzeczy:

1. Poglądy estetyczne nurtujące sztukę europejską w drugiej połowie XIX-go stulecia.
2. Stan liczebny rzeźbiarzy w stosunku do liczby malarzy.
3. System urządzania wystaw.
4. Rola, jaką odegrało malarstwo nasze (prawie bez udziału rzeźby) w rozwoju kultury polskiej, przed odzyskaniem niepodległości.

Rozpatrzmy po kolei wszystkie te punkty. Impresjonizm, panujący w drugiej połowie XIX-go wieku owocny był w skutkach przedewszystkiem dla malarstwa; istocie rzeźby, jej pędem do monumentalności i poczuciem konkretu raczej przeczył. Największe talenty rzeźbiarskie owej epoki potrafiły i impresjonizm nagiąć do swych koncepcji, ale na ogólny stan i poziom rzeźby impresjonizm dobrze nie wpłynął. Liczba adeptów, pragnących poświęcić się rzeźbie, zmalała tembardziej, gdyż w malarstwie artyści owych czasów upatrywali większe możliwości wypowiedzenia się.

Wystawy sztuki, jakie się dziś urządza, z reguły przedewszystkim są wystawami obrazów. Kilka rzeźb ustawionych na środku sali, jakby się zdawało jedynie dla dekoracji, nie zwraca niemal niczyjej uwagi. Widz przechodzi obok nich, kierując się ku obrazom. Wydzielenie rzeźb w skupiska oddzielnych, specjalnych wystaw przyczynić się może do zmiany tego niepożądanego stanu rzeczy. Dziś ciągłe częstowanie widza malarstwem, przyzwyczaja go przedewszystkim do malarstwa.

Wreszcie punkt ostatni. W czasie największego rozkwitu polskiego malarstwa współczesnego, w końcu XIX-go i na początku XX-go stulecia, życie narodu w tej dziedzinie było jeszcze jednym dowodem Polaków, że „nie zginęła..." W tym bujnym okresie żywota sztuki polskiej rzeźbiarze, nieliczni, niewielką też mogli odegrać rolę. Byli rzeźbiarze, nie było rzeźby polskiej, bo tę utworzyć może dopiero praca całej rzeszy artystów.

Wszystkie te względy działały na korzyść malarstwa, a na niekorzyść rzeźby. Dziś sytuacja uległa zmjanie. Na ulicach, na placach, w parkach publicznych, możemy ustawiać pomniki znakomitych Polaków, naszych bohaterów i nikt nam tego zabronić nie może. Rzeźbiarze mogą przemawiać do wszystkich i będą prędzej zrozumiani od malarzy.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

DLACZEGO?

FILHARMONIA warszawska postanowiła uczcić pamięć Karola Szymanowskiego specjalnym koncertem poświęconym twórczości wielkiego artysty, chwalebny w zasadzie pomysł tak jednak został wykonany, że na usta poprostu ciśnie się gorzkie zapytanie: „Dlaczego?..“ — Dlaczego w taki sposób potraktowano Tego, który „przydał Polski“, czem wytłumaczyć takie wykonanie intencji, że się chce mimowoli posądzić zarząd naczelnej instytucji muzycznej stolicy o dopełnienie formalności i o nic więcej. Ba! Gdyby nawet tak było, gdyby sala stołecznej Filharmonii miała chociażby charakter żałobnej uroczystości!.. Gdyby...

Przedewszystkim sam dobór utworów. Pierwotnie, jak wiemy, mieliśmy usłyszeć trzecią symfonię, drugi koncert skrzypcowy, „*Stabat Mater*“ oraz szereg drobnych utworów wokalnych i skrzypcowych. Potem zredukowano to o „*Stabat Mater*“, wreszcie tak zredukowany program zredukowano z kolei o chóry w trzeciej symfonii co pociągnęło za sobą i redukcję partii wokalnej solisty. W rezultacie wieczór nosił charakter napoły kameralny, a z dwuch większych utworów jeden podano w zniekształceniu. Tego to już doprawdy za dużo!

Z jakąż zazdrością czytamy program wielkiego koncertu, który niedawno wykonany w Niemczech. Okazuje się, że jeśli ktoś chciałby zapoznać się szczerze i naprawdę z twórczością Zmarłego winien stale posiadać w kieszeni paszport zagraniczny, by módz „Harnasie“ usłyszeć w Berlinie czy Nowym Jorku a zobaczyć w Paryżu czy Pradze Czeskiej.

Okaleczona trzecia Symfonia i drugi koncert skrzypcowy, który zresztą kompozytor mniej cenił od innych swoich utworów, nie może w pełni reprezentować najświetniejszego obok Chopina i Moniuszki naszego muzycznego dorobku. Pierwszemu w całości mu poświęconemi wieczorowi należało dać takie ramy, ażeby udowodniły one wszystkim, że nie jest prawdą, iż Szymanowski jest trudny a nawet bardzo trudny do słuchania. Udowodnić mogła to IV Symfonia, „*Stabat Mater*“, mogły udowodnić „Harnasie“. Jeśli znowu chcianoby ukazać całokształt twórczości, należało tak skonstruować wieczór, jak poprostu — co tu dużo gadać — w... Berlinie.

Poczem winien iść, może już w przyszłym sezonie muzycznym—cykl ilustrujący całą, dosłownie całą twórczość. Trzeba publiczność nauczyć słuchać swego Wielkiego Kompozytora, a wtedy pocznie go cenić i kochać.

Zrobiłem już dzisiaj zarzut, iż piątkowy wieczór był napoły kameralny. I prawda. Pomijam fakt, że sposób śpiewania p. A. Szlemińskiej zupełnie nie odpowiada intencjom Szymanowskiego. W „Zulejkę“, „Grób Hafisa“ czy pieśni kurpiowskie trzeba się wczuć, mało—trzeba je interpretować tak jak to czyniła siostra Zmarłego Stanisława Korwin-Szymanowska. Posiadanie samego głosu choćby o dużej skali nie wystarczy. Jest obawa, że przez czas długi trudno będzie znaleźć interpretatorkę utworów Zmarłego, napisanych na głos kobiecy. A jakże pragnęlibyśmy usłyszeć „Święty Boże“ do słów Kasprowicza, dzieło naprawdę monumentalne! Tak doskonałe zestrojenie słów poety z muzyką zdarza się bardzo rzadko. Podobnie jest z muzyką Chopina do słów Mickiewicza „Moja pieszczotka“. Jak tam, tak i tu dwuch genialnych twórców dało rzeczy skończenie dobre.

Koncert piątkowy prowadził Kazimierz Wiłkomirski. Jeśli można mu czynić jakiekolwiek zarzuty, to nie można jednak zapominać, że został on przez dyrekcję Filharmonii uproszony niemal w ostatnim momencie, gdy się okazało, że Sołtys wraz z chórami do Warszawy nie przybędzie. Tym zaproszeniem w ostatniej chwili, którego młody, ambitny dyrygent nie mógł przecież nie przyjąć, zrobił sam sobie krzywdę. A wszystko z powodu karygodnie małej dbałości Filharmonii, braku zupełnego jakiejś pieczołowitości serdecznej, której spodziewać się mieliśmy chyba prawo.

Nie zawiodła, jak zwykle, wykonawczyni II-go koncertu skrzypcowego Eugenia Umińska, zżyta zupełnie z muzyką Artysty, dająca swą interpretacją pełne zadowolenie. Muszę tu dodać nawiasem, że do tego koncertu skrzypcowego mam czysto osobisty stosunek pewnego gatunku sentymentu, gdyż o nim to pisałem na łamach „Myśli“ pierwszą recenzję.

Już chyba dosyć o owym smutnym wieczorze, smutnym nietylko ze względu na brak samego Karola Szymanowskiego, ale ze względu na jakieś niedbalstwo, którego tak trudno, doprawdy, wytłumaczyć.

Wciąż na usta powraca jedno słowo: „Dlaczego?...“ Dlaczego w taki sposób potraktowano Tego, który „przydał Polski“?...

W. NARUSZ

FILM

PAN: „Dorożkarz Nr. 13“, reż. M. Czauski.

Źle jest, gdy największą zaletą śpiewaczki są piękne nogi. Niedobrze, gdy w filmie, który się posługuje przecież ruchomym obrazem, jako podstawowem tworzywem, najudatniejsze są właściwie... dialogi. Na „Dorożkarzu Nr. 13“ ludzie się śmieją z powiedzeń Sielańskiego, z tekstu popularnego fejletonisty Wiecha, ale nie z dowcipu filmowego, którego tu niema. A przecież zdarzała się potemu okazja, i zdawało się nam przez chwilę, że autorzy filmu ją wyzyskają. Mam na myśli fragment perypetyj przypadkowego dorożkarza przy wsiadaniu na kozioł i pierwszym występie z nieposłusznym koniem. Tu tkwiły efekty już zdecydowanie wizualne i trzeba je było tylko umieć rozwinąć.

Natomiast zaletą filmu jest wcale pomysłowy i nieźle opracowany scenariusz. Sielański w głównej roli dobrze sobie radził, Żelichowska tym razem nietrafnie została obsadzona. Reszta obsady — jak zwykle.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Orzeszkowa Eliza. Pisma. Pod redakcją A. Drogoszewskiego i L. B. Świderskiego. T. I. Pierwsze utwory. Warsz. Gebethner i Wolff.

Żytomirski Eugeniusz. Pierwsze przykazanie (Poezje). Warsz. Hoesick.

Majdański Walenty. Giganci. Warsz. 1937. Nakł. autora.

Turkowski Leonard. Krew Ziemi. (Poezje). Poznań 1937. Księg. J. Dippel.

Drobnik Jerzy. Przed startem. Poznań 1937. „Awangarda. S. 163.

Poezja młodego Podhala [Pantorów]. Słowo wstępne St. Pigonia. Kraków 1937. Koło Polonistów Słuch. Un. Jagiel.

Manowce ubezpieczeń w Polsce. Warsz. 1937. S. 110.

Instytut Śląski wydał z datą Katowice 1937:

Stoczek Józef. Stosunki kulturalne Śląska ze Lwowem w wiekach średnich.

Giziński Bron. Postępy przemysłu chemicznego na Śląsku za czasów polskich. S. 31.

Szczepański Al. Kierunki eksportu wytworów przemysłu górnośląskiego. S. 27.

Tymieniecki Kaz. prof. Kolonizacja a germanizacja Śląska w wiekach średnich. S. 41.

Winter Krzysztof. Kuźnic śląskich i kopalń opis i oznaczenie krótkie oraz M. Severusa Wiersz pochwalny. Oprac. Win. Ogrodziński. S. XXXIII i 47.

Kaufman S. i Maryniarczyk R. Roboty publiczne w woj. Śląskim. Z 24 ryc. i 2 map. S. 70.

Wykaz literatury bież. o Śląsku. Lipiec-wrzesień 1936, n-r 3.

POKŁOSIE

JAK WYGLĄDA LUDNOŚĆ POLSKI?

GŁÓWNY Urząd Statystyczny ogłosił obecnie ostateczne dane, tyczące się ludności Polski według spisu, dokonanego w dniu 9 grudnia 1931 roku. Przypatrzmy się jak w świetle cyfr wygląda ludność Polski i jej podział na rozmaite grupy narodowe, językowe, wyznaniowe, oraz majątkowe.

Najpierw jedna uwaga. Ostatnie lata przyniosły alarmujący spadek liczby urodzeń, zagrażający poważnie naszemu rozwojowi i ekspansji: dość przypomnieć, że liczba urodzeń z 1023 tysięcy w roku 1930 spadła do 869 tysięcy w r. 1933. W następnych latach nieco się podniosła i wynosiła w r. 1935 — 877 tysięcy; rok 1936 przyniósł dalszą zwyżkę o 15 tysięcy do 892 tys., co stanowi pewne polepszenie w stosunku urodzeń na tysiąc mieszkańców. Można przypuścić, że to polepszenie jest wynikiem podźwigania się kraju z najcięższego okresu kryzysu a więc że osłabienie rozrodczości miało tylko ekonomiczne powody, co byłoby rzeczą pocieszającą. Najbliższe kwartały powinny nam dać definitywną odpowiedź na to zasadnicze pytanie.

A teraz weźmy się do liczb ostatniego spisu.

Naturalnie ogólna liczba ludności (bez skoszarowanego wojska) 31.915 tysięcy jest dziś przestarzała. Na 1-go lipca b. r, ludność Polski wyniesie okrągło 34 i pół miliona głów. Ale podział na rozmaite grupy nie zmienił się od roku 1931 wiele, można go więc uważać za miarodajny i dziś.

Więc najpierw podział według wieku: dzieci do lat 9 stanowią u nas prawie okrągło ćwierć, a razem z młodzieżą do lat 19 wynoszą 43% całej ludności kraju. Jesteśmy więc społeczeństwem z o wiele większym procentem młodzieży, niż inne narody europejskie (we Francji np. te kategorie stanowią tylko 30%, w Anglii 32%, w Szwecji 34% to jest nasza siła i nadzieja na przyszłość, jako narodu młodego. Mamy znacznie mniejszy procent ludzi starych niż wymienione wyżej narody, ale również nieco mniejsza część narodu jest u nas w sile wieku. Jest to normalny stan szybko rosnącego społeczeństwa. Ostatnie lata popsuły nieco u nas ten stosunek, ale jak powiedzieliśmy wyżej, zaznacza się znów poprawa.

Teraz podział na grupy narodowe. Spis uwzględnia tylko grupy językowe i wyznaniowe trzeba więc z tych obu wnioskować o narodowości. A więc język polski, jako ojczysty podało okrągło 22 miliony ludzi, tzn. prawie dokładnie 70%. Jest w tym pewna liczba Żydów, gdyż język żydowski podało 2,7 miliona, a wyznanie mojżeszowe 3,1 miliona, czyli że część Żydów przyznała się do innych języków ojczystych, prawdopodobnie głównie do polskiego i ukraińskiego.

Mamy więc około 70 procent Polaków. Jest to dosyć do zapewnienia państwu narodowego charekteru, ale w każdym razie 30% innych grup narodowych nie jest sprawą drobną i powinniśmy stale mieć ją na uwadze przy wytykaniu polityki wewnętrznej.

Najliczniejszą z kolei grupą językową jest ukraińska, liczy 3,2 miliona, dalej żydowska — 2,7 miliona, ruska — 1,2 mil., białoruska 990 tysięcy, „tutejsza" — 707 tys., niemiecka — 740 tys., rosyjska — 138 tys., litewska — 83 tys.

Według wyznania mamy: prawie 21 milionów rzymskich katolików, następnie idzie prawosławie 3,7 mil., greko - katolicy 3,3 mil., mojżeszowe 3,1 mil., ewangelickie 835 tys.

Z czego ludność Polski się utrzymuje? Wiemy wszyscy, że większość to rolnicy, ale jak się to przedstawia cyfrowo? Otóż na roli żyje prawie 19,5 miliona osób (dziś już nieco więcej, bo przyrost naturalny nie odpływał w ostatnich latach do miast, miał nawet miejzce prąd odwrotny. W tej liczbie mamy 16,5 miliona osób na gospodarstwach samodzielnych gospodarstw chłopskich, ale dobrze jest to mieć w pamięci, bo odróżnia to nas od innych społeczeństw europejskich i stawia przed nami inne zadania i widoki na przyszłość.

Przemysł, górnictwo, handel i ubezpieczenia wykazują razem nieco ponad 8 milionów osób, przyczem ludność samodzielna wynosi ponad 3,5 miliona osób. Widać z tego, że zarówno przemysł, jak i handel wykazuje u nas wielką liczbę drobnych przedsiębiorstw.

Pod tym względem różnimy się zasadniczo od wielu społeczeństw zachodnich. Niedawno ogłoszona statystyka podatkowa w Austrii podaje, że w tym kraju na jednego samodzielnego przypada trzech najemnych, jest więc coś wręcz odwrotnego, jak u nas. Kraje wysoko uprzemysłowione, np. Anglia wykazują też daleko posunięty zanik drobnego samodzielnego przedsiębiorcy i tylko Francja trzyma się jeszcze w dużym stopniu drobnych form produkcji.

Gospodarka wielko - kapitalistyczna załamuje się w naszych oczach, trącąc przedewszystkim moralny grunt pod nogami, gdyż nowoczesna myśl społeczna nie godzi się na niewolnictwo mas proletariatu. Szuka się wszędzie nowych dróg i upowszechnienię własności wybija się na pierwszy plan dążeń. Trzeba żebyśmy pamiętali, że na tym polu mamy już wielkie atuty w ręku, i przebudowa jest u nas łatwiejsza, niż gdzieindziej.

ARGUS

NA MARGINESIE

Na zakręcie.

Dla ludzi ideowych nie bardzo były zrozumiałe przygadywki sanacyjne o tym, żeby zwalniać „na zakręcie." Jakiś zabobonny strach łączył się z myślą o zakręcie, który może być lada chwila przez kogoś na komendę nakazany.

Dopiero teraz się widzi, jakie to zabawne widowisko taki zakręt. Było hasło, że istnieje tylko państwo. Do tego bieguna linią prostą biegły zaprzegi reniferów. Aliści rozległa się komenda: „Naród", a więc zakręt...

Jakiż to zamęt! P. Starzyński skręca tak, że traci równowagę. Pędząc z hasłem „Bereza" na ustach — rzuca to słowo teraz w kierunku niestosownym. Sam nie wie, czy sobie groził, czy komu.

Prof. Olgierd Górka właśnie trudził się nad brzoszurą, mającą uzasadnić, że „tylko państwo." Już się wczytywał w nieznaną sobie literaturę o państwie, już kawał dobry napisał, a tu hasło: „zakręcać na naród!" — Rozkaz! Nawet to łatwiejsze dla historyka, ale w każdym razie kłopot.

Niech będzie: „Naród i Państwo."

Cóż mówić o dziennikach subsydiowanych! W „Kur Por." na tym zakręcie spadło z kozła jeden po drugim dwóch woźniców.

Najzabawniej z żydami. Ustawili się bowiem szpalerem i wiwatowali jadącym, przeklinając „Naród." A tu zakręt — tratują żydów!" Gwałt, popłoch.

Bywa różnie na świecie.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.** Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.